

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts — Rocznie 4 dol. 50 cts.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XII. Kraków, 18 września 1915. Nr. 38.

W zwycięskim pochodzie na Wschód.



Na pozycyi w lesie.



Szańce rosyjskie, zburzone przez artyleryę austryacką.

Pamiątkowe wydawnictwa „Nowości Illustrowanych".

W początkach listopada r. b. ukażą się pamiątkowe wydawnictwa „Nowości Illustrowanych", których prospekt ogłosiliśmy w Nr. 37 naszego pisma:

Album Legionów polskich

i

Kalendarz „Nowości Illustr." na rok 1916.

Wobec olbrzymich kosztów tego wydawnictwa, nakład „Albumu" i „Kalendarza" musimy ograniczyć do liczby zamówionych i opłaconych z góry egzemplarzy. Kto więc pragnie otrzymać te wydawnictwa, które będą bogatą w treść i obficie illustrowaną kroniką obecnego dziejowego przełomu, powinien pospieszyć z przedpłatą, którą przyjmuje **Administracya „Nowości Illustrowanych", ulica Kazimierza Wielkiego 95 (dom własny),** po cenie: **Zeszyt „Albumu Legionów polskich" 1 korona** (z przesyłką pocztową 1 kor. 30 hal.), **„Kalendarz „Nowości Illustrowanych" na rok 1916" 1 kor.** (z przesyłką pocztową 1 kor. 50 hal.).

Cesarz Wilhelm na Wawelu.

Dzień 26-go sierpnia 1915 r. będzie historycznym dla Krakowa, bo w dniu tym prastary nasz Wawel przyjmował w swych czcigodnych murach pierwszego księcia z rodziny Hohenzollernów i to w osobie władcy Niemiec, Wilhelma II-go.

Dnia tego w południe zajechał na Wawel w automobilu szofer dworu pruskiego, zapowiadając przybycie wysokiej osobistości na Wawel, celem zwiedzenia katedry i zamku, nie podał jednak, kiedy to nastąpi. Tegoż samego dnia o godzinie 5 popołudniu zajechały na dziedziniec przed biura zarządu zamku cztery automobile. Z pierwszego wysiadł cesarz Wilhelm i siedzący obok attaché austro-węgierski, pułkownik generalnego sztabu baron Bienerth, z trzech innych świta z austryackim generałem Keltschem i niemieckim generałem hr. Moltkem na czele. Sekretarz zarządu zamku, emerytowany nadzarządca pocztowy p. Adam Bogdani przedstawił się bar. Bienerthowi, który przedstawił go cesarzowi. Cesarz udał się ze świtą w towarzystwie p. Bogdaniego do katedry, gdzie oglądał szczegółowo kaplice, pomniki, nagrobki, nie szczędząc słów uznania dla piękności tych dzieł architektonicznych i okazując przytem gruntowną znajomość architektury, sztuki i historyi.

Pomnikiem królowej Jadwigi był cesarz tak zachwycony, że prosił o posłanie cesarzowej do Berlina reprodukcyi w słowach: „Posłać to mojej żonie" (*„Schicken Sie es meiner Frau"*).



W zwycięskim pochodzie na Wschód: Rynek w Międzyrzeczu.

Przy trumnie św. Stanisława opowiedział p. Bogdani cesarzowi przyczynę zabójstwa Świętego przez Bolesława Śmiałego, czem był wielce zaciekawiony. Obejrzawszy dokładnie pomniki Jagiellonów, kaplicę królowej Zofii,

Zwiedził następnie groby królewskie. Tu cesarz okazywał szczególniejsze zainteresowanie i ujawnił doskonałą znajomość historyi.





Cesarz Wilhelm na Wawelu:

Cesarz Wilhelm żegna się z sekretarzem Ad. Bogdanim. Na prawo architekt K. Skawiński.

Przy wejściu do katedry stoją: dr. Tomkowicz, J. E. jenerałowa Kukowa, J. E. jenerał Kuk (w pierwszym rzędzie), sekretarz Bogdani, dyrektor Sowiński i architekt Skawiński.

Przy oglądaniu sarkofagów królowych z domu austryackiego, odczytywał dokładnie napisy i oglądał rzeźby na trumnach, przyświecając sobie zapałką. Kaplica Zygmuntowska zrobiła na cesarzu ogromne wrażenie, nie miał słów zachwytu, mówiąc, że nigdy nie przypuszczał, iż w Krakowie znajdzie takie skarby sztuki.

Po zwiedzeniu katedry udał się cesarz Wilhelm do zamku, gdzie mu się przedstawił zarządca zamku, architekt p. Karol Skawiński, który w towarzystwie p. Bogdaniego objaśniał cesarza o architekturze dziedzińca zamku. Cesarz zwiedził krużganki i salę tronową, zapytywał o obecny stan robót na Wawelu, o fundusze, przeznaczone na restauracyę i liczbę robotników. Gdy architekt Skawiński na krużganku II piętra, zwracając uwagę na okno renesansowe, zaznaczył, że jest to pierwszy pomnik renesansu w Polsce, kiedy jeszcze renesans nie był rozpowszechniony w Niemczech, cesarz po krótkim namyśle, odrzekł lakonicznie: „Rzeczywiście“. *(„Es stimmt“).*

Wyszedłszy z zamku wstąpił cesarz Wilhelm do biura restauracyi Wawelu, gdzie przeglądał z zajęciem plany, fotografie i t. p. Prócz tego zwiedził salę modeli drewnianych, gdzie mu p. Skawiński przedstawił model zamku przed restauracyą i drugi model, jak będzie wyglądał zamek po restauracyi. W sali modelów zwróciły uwagę cesarza odlewy kapiteli i innych fragmentów architektonicznych, tudzież sposób ich uzupełniania i restauracyi.

Na dziedzińcu zamkowym, przed odjazdem, spotkał cesarz rannego Legionistę, którego wypytywał, do którego pułku należy i gdzie był ranny, a dowiedziawszy się, że Legionista odniósł ranę pod Dęblinem, wyraził mu słowa uznania.

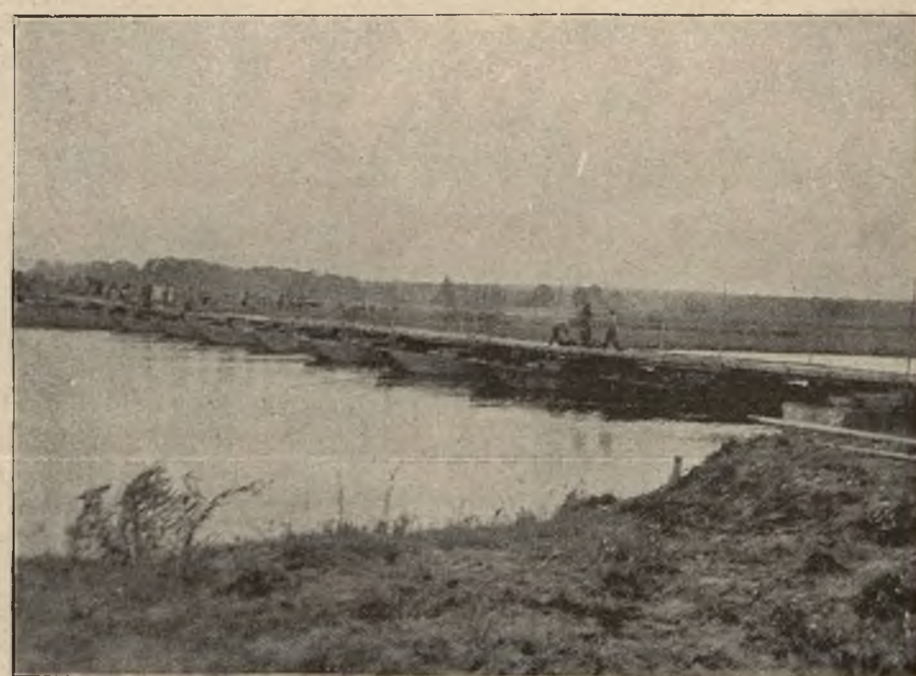


Dwa miliony jeńców rosyjskich: Obiad jeńców rosyjskich w szpitalu garnizonowym w Krakowie.

Cesarz Wilhelm przez cały czas zwiedzania Wawelu z niezwykłą uprzejmością odnosił się do oprowadzających go architektów, Skawińskiego i Bogdaniego, a następnie uścisnąwszy każdego z nich za rękę, zażądał ich kart wizytowych, które wręczył swemu adjutantowi.

W dniu 2. b. m. cesarz Wilhelm przybył powtórnie do Krakowa.





Polowy warsztat ślusarski przy bateryi. **W zwycięskim pochodzie na Wschód:** Most pontonowy na rzece Wieprz.

Po godzinie 4 popołudniu zajechało przed kościół Maryacki kilka samochodów dworskich, wiozących cesarza, attaché barona Bienertha i świtę, ale nie miał go kto oprowadzić po świątyni. Podjął się tego znajdujący się na miejscu urzędnik Towarzystwa Wzajemnych ubezpieczeń, p. Maryan Lanc, a towarzyszący mu p. Podwin, emerytowany urzędnik, wśród tłumu ciekawych, jaki za orszakiem wpłynął do świątyni, zaimprowizował utrzymanie z obecnych szpaleru, tak, iż cesarz z towarzyszącymi mu dygnitarzami wojskowymi mógł swobodnie oglądać ołtarze, kaplice i pomniki kościoła Maryackiego. Na ołtarz Wita Stwosza zwrócił cesarz szczególniejszą uwagę, oświadczając, iż zna dzieła tego mistrza; o polichromii Matejki wyrażał się ze znawstwem i z podziwem; zainteresowała go kaplica św. Jana Chrzciciela, malowana przez p. Włodzimierza Tetmajera. Cesarz wypytywał się o osobę artysty i jego działalność malarską. Wogóle cały kościół uczynił na nim żywe wrażenie. Zwiedzanie kościoła Maryackiego trwało pół godziny. Przybyły później dr. Klein udzielał cesarzowi fachowych objaśnień.

Podziękowawszy uprzejmie oprowadzającym, udał się cesarz samochodem do Biblioteki Jagiellońskiej. Przed ulicą św. Anny z powodu robót tramwajowych na rogu ulicy Wiślnej wysiadł z automobilu i przeszedł pieszo ku Bibliotece. Kustosz dr. Korzeniowski oprowadzał go po salach, pokazując cenne dzieła, inkunabuły, polski globus M. Bylicy, nauczyciela Kopernika i unikaty starych dzieł. Cesarz kilkakrotnie wyrażał podziw dla cennych dzieł, znajdujących się w tutejszej Bibliotece. Dziedziniec Biblioteki Jagiellońskiej niezmiernie podobał się cesarzowi. P. Wojciechowi Kossakowi, który znalazł się na dziedzińcu w grupie oficerów austryackich, po uprzejmem powitaniu w dłuższej rozmowie o pracach artysty podczas wojny oświadczył, że Kraków jest cudownem miastem *(„Krakau ist eine wunderbare Stadt“)* i że



Z życia Legionów: Na placówce drugiego pułku (przyjazd ordynansa z rozkazem).





Wyjazd z obiadem na pozycyę. **Z życia Legionów:** Kuchnia polowa drugiego pułku

jest wprost zachwycony jego gmachami, pamiątkami i dziełami sztuki.

Następnie, po zwiedzeniu kościoła O. O. Franciszkanów, cesarz ponownie odwiedził Wawel. Automobile zatrzymały się przy Muzeum Narodowem, a cesarz ze świtą przybył do zamku piechotą, gdzie powitał go architekt p. Skawiński i w towarzystwie sekretarza p. Bogdaniego oprowadzał po wszystkich salach. Cesarz interesował się najmniejszym szczegółem. Kominek i odrzwia w sypialni królewskiej tak mu się podobały, że prosił o przysłanie mu fotografii tych zabytków. Wyszedł także z całą świtą na rusztowania od strony ul. Kanoniczej, skąd podziwiał prześliczny widok na Kraków, rozpytując się o każdy kościół i większy gmach publiczny. Gdy cesarzowi p. Bogdani podał lornetkę, tenże zdziwiony zapytał go, skąd tak nagle znalazł przy sobie lornetkę, a na odpowiedź, że p. Bogdani wybierał się właśnie do kina i dlatego wziął ją ze sobą, cesarz roześmiał się i dalej przypatrywał się Krakowowi.

W tym czasie przybył także na zamek jenerał Kuk i towarzyszył cesarzowi razem ze świtą, a kiedy cesarz, opuszczając zamek, dowiedział się od pana Skawińskiego, że dama, około której przechodził, jest małżonką komendanta twierdzy, zwrócił się do jenerała Kuka, aby mu przedstawił swą małżonkę, którą zaszczycił paruminutową rozmową.

Wstąpiwszy jeszcze do biur zarządu i obejrzawszy fotografie, cesarz zaprosił pp. Skawińskiego i Bogdaniego na herbatę, którą służba cesarska zastawiła około Smoczej jamy, skąd podziwiał piękny widok na kopiec Kościuszki, Bielany, Skałkę i tak dalej.



W zwycięskim pochodzie na Wschód: W zdobytym rowie strzeleckim.

Zaszczyciwszy jeszcze jenerała Kuka dłuższą rozmową, cesarz pożegnał podaniem ręki pp. Skawińskiego i Bogdaniego i życząc szczęśliwego i rychłego ukończenia restauracyi zamku, odjechał ze słowami: „Do widzenia“.

Przy sposobności należy zaznaczyć, że w czasie wojny Wawel gościł, a pp. architekci, dyrektor rest. Sowiński, Skawiński i Bogdani przyjmowali wiele wysokich osobistości. Zwiedzili Wawel w tym czasie: dnia 7. października 1914 roku jenerał Hindenburg, dnia 10. października 1914 roku książę Reuss, dnia 30. stycznia 1915 roku następca tronu austryackiego, arcyksiążę Karol Franciszek Józef, dnia 27. czerwca król Ludwik Bawarski, a ostatnio w dniach 26. sierpnia i 2. września cesarz Wilhelm.



Dwa miliony jeńców rosyjskich: Jeńcy rosyjscy w krakowskim szpitalu garnizonowym.

JÓZEF LASOŃ.

Legiony.

Fragmenty.

Matematyk...

— Raz, dwa, trzy, cztery, pięć!

— Hej! Obywatelu, czemu nie strzelacie?

— Raz, dwa i t. d.

— Salwa! — zagrzmiał głos komendanta — cel! pal!

— Raz, dwa — żołnierz błyskawicznie przeskoczył kilkanaście kroków, upadł na ziemię, przywarł do niej i znów rozpoczął monotonne liczenie.

— Do pioruna! Zwaryował! — krzyknął komendant.

— Raz, dwa.

— Obywatelu! Strzelać!

— Raz, dwa.

Zniecierpliwiło to komendanta, podsunął się ku żołnierzowi, który, za pagórkiem ukryty, obserwował nieprzyjaciela, licząc w dalszym ciągu.

— Czemu nie strzelacie?

— Obywatelu! Ten drab vis a vis mnie uwziął się na mnie i koniecznie chce mnie sprzątnąć. Chcę mu się odwzajemnić, dlatego uknułem plan, aby mu dobrze się zrewanżować!

— Jakiż to?

— Otóż, Moskal ustawicznie celuje we mnie. Muszę liczyć, aż on wystrzeli pięć naboi, wtedy zajęty jest świeżem ładowaniem naboi, ja korzystam z tej chwili i podsuwam się, o ile się da, wyszukując sobie dobrą zasłonę. Nie strzelam, gdyż szelma dobrą zasłonę ma i nic bym mu nie zrobił. Podejdę pod niego i wtedy, kiedy będzie ładował, sprzątnę go, albo zabiorę do niewoli.

— Raz, dwa i t. d.

Komendant pozostał, obserwując ciekawie żołnierza. Coraz bliżej podsuwali się nasi żołnierze pod okopy nieprzyjacielskie.

Nagle ze strony, skąd podsuwał się ów matematyk, wydarł się okrzyk:

— Ne strelat! Poddajemsia!

Głos osaczonego podziałał i na innych żołnierzy moskiewskich, rzucili karabiny, poddali się.

Matematyk, wyprowadzając jeńców z rowów strzeleckich, liczył:

— Raz, dwa, trzy, ale już nie wracał do pierwszej liczby, tylko uśmiechnięty liczył w dalszym ciągu.

Waryat.

Kiedy tylko większa grupa rekrutów pojawiła się przed biurem poborowem Legionów w Radomsku, zaraz przybiegał mały, nikły chłopak, wdawał się z nimi w rozmowę, opowiadał niebywałe rzeczy.

Po kilku minutach rozmowy poznawano, że to waryat.

Niebieskie, mgłą zaszłe oczy ustawicznie biegały na wszystkie strony, pociągła twarz przy rozmowie wydłużała się jeszcze więcej; bełkotanie jakieś niezrozumiałe wychodziło z ust biednego chłopca.

Często mieszał się w szeregi, przychodził do sali rekrutów, gdzie lekarz badał przybyłych.

Waryat.

Śmiech ludzki towarzyszył mu zewsząd, czasami obelżywe słowo padło w jego stronę, on błędnemi oczami spozierając, mówił:

— Wiecie, jak Moskali pobiłem? W wojnie byłem!

Króciutka, a smutna jego historya.

Przed kilkoma tygodniami zgłosił się jako ochotnik, lekarz nie uznał go jednak z powodu młodego wieku, następnie z powodu wątłych sił i złego stanu zdrowia.

Od tego czasu często przychodził do biura, prosił o przyjęcie, jednakże bezskutecznie.

Raz, przychodząc, zaczął opowiadać o wielkiej bitwie, jaką stoczył z Moskalami, poczem zaczął się śmiać przeraźliwie.

— Żołnierz jestem... he... he... generał... pobiłem Moskali!

Naprzypinał sobie papierowych gwiazdek i orderów, z dumą chodząc, pokazywał, śmiejąc się przeraźliwie i płacząc czasami.

I od tej chwili został waryatem.

Obelżywe słowo ludzkie pada na niego, śmiech szyderczy zewsząd za nim kroczy, ludzie bawią się nim, śmieją się z niego...

Waryat...

A przecież niósł on na ołtarz Ojczyzny, co miał najdroższego... życie... że mały i młody, trudno.

Biedny waryat...

Kozaki...

Patrol niemiecka zbliżała się w stronę lasów skrzydłowskich, obserwując bacznie okolicę. Byli to przeważnej części tak zwani „wasserpolacy“, umiejący coś nie coś po polsku.

Podoficer, prowadzący patrol, szedł przodem, ostrożnie zbliżając się do lasu, usiłował przejrzeć dokładnie okolicę, aby zdać dobry raport.

Ale ludzie powoli przyzwyczaili się do wojny, a konieczność zdobycia żywności wypędza istoty ludzkie nieraz na teren walki, nic dziwnego zresztą, bo głód zmusza do wszystkiego.

Stara, poczciwa babuńka wyszła do lasu na grzyby, aby uzbierać trochę. Ze tam od czasu do czasu dał się słyszeć wystrzał karabinowy lub armatni, nic ją to nie obchodziło, najspokojniej zabrała się do tej czynności, zresztą była trochę głucha, nie wiele sobie robiła zatem z detonacyi strzałów.

Przy tej czynności zastała ją nadchodząca patrol, przystanęła na chwilę, podoficer łamaną polszczyzną zaczął się wypytywać baby.

Będąc głuchą, a następnie nie mogąc zrozumieć łamanego języka, nie wiedziała, o co się żołnierzom rozchodzi. Tłumaczą jej i tłumaczą, ona dalej pokazuje im, co tu robi.

Nareszcie jeden z nich, nachylając się do ucha poczciwej babuleńki, krzyknął głośno:

— Matka, są tu kozaki?

— He! Kozaki?!

— Tak! Są?

— A są, panie!

— A daleko? — jeszcze głośniej krzyczy jej nad uchem.

— Oj ta, panie, niedaleko, a to w tym lesie!

— A dużo ich jest — pyta już przyciszonym głosem ów żołnierz.

— O, panie, widzita, jak ten las długi i szeroki, tak ich pełno jest.

— — — — — — — — — — — —

Sądziła, że pytają się o odmianę grzybów zwanych „kozakami“, których pełno było w skrzydłowskich lasach.

MARYA SEGENY.

ZIEMIA.

Na rdzawe wrzosowiska mgły spadają ciężkie, jesienny podmuch w uścisk je bierze zimny, w smugi długie, szare rozpyla, po zamierających rozpina trawach...

Wloką się nizko opary białe, do fantastycznych cieniów podobne, niby kadzideł smugi wonne, w powietrzu cichem wloką się ciche...

Liliowe wrzosy tulą zazdrośnie, na szkarłat kwiatów spadają lekkie, szczyty drzew zdobią koronek gazą, z czerniałych ostów motają liście...

Ponad polami rozpięta cisza, szmery najlżejsze pochłania chciwie, drgają powietrza fale przejrzyste, ponad lasami w ciszę wsłuchane...

Dyszy ciężko ziemia, rozrodczą wyczerpana siłą, do snu dłuższego kładłaby się chętnie, zapomnieć przeżyte trudy by chciała.

Ale nie pora jeszcze, nie czas.

Krwawią się w słońcu złote, jesienne plony, o zbiór szybki głośno proszą, tryumfalnem bogactwem pysznią się dumne.

Jeszcze nie pora na odpoczynek ziemi.

Z kłosów nabrzmiałych, złote, żyzne ziarno posypie się ciężką falą na nowy jej trud, na nowy wielki plon...

Posypią się twarde ziarna w skrwawioną, uznojoną ziemię, obejmą siecią pędów młodych, gorących, ustroją jeszcze w jasną, młodocianą szatę...

A w mocnym uścisku tych pędów młodych ziemia nie pomni na trud i znój, nadziei nowym zapłonie blaskiem, zadyszy nowego życia tętnem...

Na chwilę przycichnie ciężarem trudów znużona, trwożliwie pod śnieżnym chroniąc się całunem, by znown powstać potężna i śmiała, wiecznem pragnieniem zbudzona...

I znowu zorze rozgorzeją światłem, i pieśń odwieczna po polach zadzwoni, w świeżą purpurę ustroją się kwiaty, wiosenny podmuch szkarłaty rozpali...

— — — — — — — — — — — —

Jesienny wieczór cicho nad ziemią zapada.

Od świeżo zoranego łanu zapach idzie ciepły i mocny.

W blaskach gasnącego już słońca ziemia czarna ognistą się łuną zapala. Wokoło, ciężka, nieprzebrana cisza, tylko od czasu do czasu przełamie fale drzemiącego powietrza pomruk długi i głuchy. Biegnie z daleka, z za lasu, co niemy, wchłonięty w siebie stoi, i czarną, równą linią odcina się śmiało od jasnej plamy bladnących zórz.

Czasem żwawszy podmuch jesienny przyniesie zdala dziwne jakieś odgłosy... suchy chrzęst zbroi, świst, nawoływania, echo rozpaczliwego jęku...

Po świeżo zoranym łanie idzie dwoje ludzi: starzec i dziecko. Przez ramię starca przewieszona, wypełniona, ciężka płachta. Włos biały, nieokryty, osłania wysokie, bruzdami znaczone czoło.

Idzie, szerokim równym krokiem, surowym wzrokiem patrzy przed siebie, gęste, siwe brwi ściąga w zamyśleniu.

Co raz, to sięgnie ręką do szarej płachty i grube, złote ziarno półkolem się zatoczy, z suchym chrzęstem na czarną posypie się ziemię...

A ziemia wilgotna, suche ziarno chłonie, oddechem ciepłym otoczy, od zimnych wichrów uchroni. Równym, miarowym krokiem idzie starzec naprzód, nie zboczy z drogi, nie przystanie. W promieniach ostatnich słońca twarz jego zorana, grubą siecią bruzd znaczona, jak z bronzu ciemnego wykuta. Czarne, niezmordowane ręce, złote ziarna sypią bez przerwy.

Czasem jakieś słowo krótkie rzuci do chłopca, co za nim biegnie. I wtedy chłopiec jak sarna podskoczy ku bruzdzie na skraju, w pulchnej, miękkiej ziemi bosemi nogami tonąc i wnet powróci z workiem na plecach przewieszonym, pochylony i żwawy — ziarna twardego do płachty nasypie i znowu prędko do bruzdy podskoczy. Silniejszy podmuch przypadł od lasu i przyniósł ze sobą donośniejsze echo walki toczącej się w dali. Rozbiegło się po polu gniewnym pomrukiem i długą chwilę drgało w powietrzu.

Surowiej zsunęły się gęste brwi starca, a ręka ziarno sypiąca złote zadrgała lekko, krzywe nakreślając półkole. I zdało się, że ziemia odczuła ten odgłos biegnący, bo przeszedł po niej szmer głuchy, niby jęk żałosny i cichy.

Podsunął się chłopiec do starca, jakgdyby przy nim szukając opieki i otuchy.

Duże, niebieskie źrenice, w których widniał niepokój jakiś, podniósł na twarz jego bladą i spytał:

— Gospodarzu, a nie boicie się?

— Czego?

— A dyć nasi tam się biją, nie słyszycie?

— Biją, to i wybiją — brzmiała lakoniczna odpowiedź.

I równym, nieprzerwanym krokiem mierzył czarną rolę, oczów poważnych nie odrywając od niej na chwilę.

Słońce już powoli za las zachodzić zaczęło, rzucając coraz dłuższe, ukośne promienie. Wyszły cienie z lasu i pokładły się rozwlekłym szeregiem na pola, białym oparem już lekko pokryte.

Odgłos walki dochodził coraz wyraźniejszy.

Już bez przerwy prawie grały armaty i karabiny, żywemi, donośnemi salwami. Głucho stękała ziemia pod twardemi kopytami koni i naporem ciężarów. Jakaś groźba straszna i ciężka szła szeroką falą od lasu i kołysała się uporczywie nad łanem.

Niebieskie, płochliwe oczy chłopca coraz częściej i niespokojniej biegły ku surowej twarzy starca.

Już świst przeciągły przedarł powietrze i skonał z suchym trzaskiem, rozsypując czarne grudki ziemi wokoło.

Podskoczył chłopiec do starca i niecierpliwie skubnął go za rękaw siermięgi.

— Gospodarzu, słonko już za las uciekło. Możebyście już z pola zeszli, do wieczora niedaleko.

— Nie spieszy mi się.

— Cosik od lasu złego idzie, straszno mi czegoś.

— Strach odpędź od siebie. Łanu dosiać muszę.

— Kulki świstają, jeszcze która uśmierci.

— Smierci się boisz?
— A juści!
— To źle, jeszcześ na nią nie zarobił. Smierć nie straszna i choćbyś się pod tę ziemię skrył — znajdzie cię, jak przyjdzie czas.
— Dosiejemy jutro.
— Jutro? A wiesz ty, co jutro cię czeka? Ziemia pierwsza, pamiętaj. Czeka na obrobienie, trzeba jej dogodzić, bo się pomści i życia ci nie da.
— Ona?
A któżby? Choć ty zginiesz, przyjdą po tobie tacy, co jej potrzebować będą jak duszy własnej. Przyjdą głodni i wołać do niej będą, aby ich nakarmiła. Ziemia pierwsza, pamiętaj. Wszystko przeminie i wymarnieje i bogactwa ludzkie i mienie wszelakie, a ona jak trwa od początku, tak trwać będzie. Nie zniszczy jej ani woda, ani ogień, ani nijaka złość ludzka. Tak, jak to słonko pewne na niebie, tak i ona pewna. Lecz jej pochlebiać trzeba i dogadzać jako matce rodzonej i rąk silnych nie żałować, a przytuli cię ona i wspomoże po wszystkie czasy. Ino ty jej nie opuszczaj nigdy — pamiętaj.

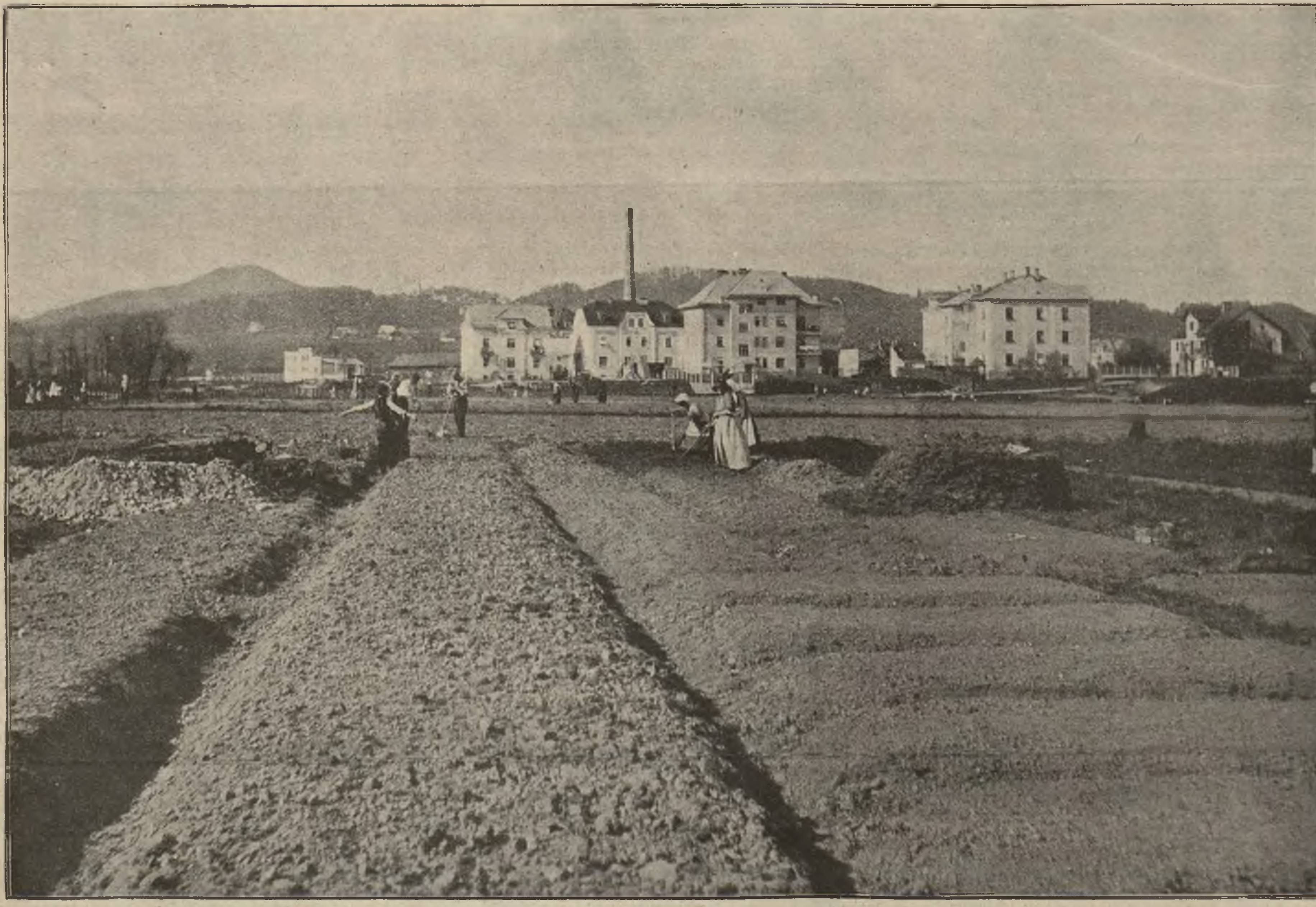
Rozbłysły niebieskie oczy chłopca poważnym, pogodnym blaskiem.
— Kiedy tak powiadacie gospodarzu, to i prawda być musi, dosiejemy tam do końca.
Żwawo pobiegł do bruzdy po nowy worek ziarna. Biegł nie patrząc w stronę lasu, co lęk w nim i niepokój budził.
Słowa starca powagę i pogodę mu dały. Lecz kiedy powracał, uginając się pod ciężarem, napróżno spojrzeniem szukał wyniosłej jego postaci z bielejącą plamą płachty przewieszonej przez ramię.
Z szeroko rozwartymi oczami, w których już świadomość życia zamierała powoli, leżał w czarnej roli, a z pod zgrzebnej keszuli, struga krwi purpurowej spływała, rdzawemi plamami znacząc świeżo zoraną ziemię.
Skupiony i drżący chłopiec przyklęknął przy starcu.
— Zasiej do końca — wyszeptał z trudem. — Ja już skończyłem. Pamiętaj, przyjdą tacy, co chleba łaknąć będą. Zasiej do końca... a ziemi szanuj do śmierci.
— — — — — — — — — — —

Jesienny wieczór cicho nad ziemią zapada.
Zagasło już słońce. Cienie z pod lasu gromadą wypełzły i ogarnęły już ziemię całą. Ciężkie sine smugi snują się po niej długim mar korowodem.
Ucichły odgłosy wszelakie, w powietrzu sennem nie drga już szmer żaden.
Po wilgotnym, świeżo zoranym łanie idzie chłopiec z płachtą przewieszoną przez ramię.
Drobną ręką niepewne zatacza półkola, sypiąc ziarno złote. Z cichym chrzęstem, jak grad bijący o szyby, opadają one na ciemną rolę. Wchłania je ona chciwie, te twarde ziarna krwią purpurową znaczone — wchłania chciwie wdzięczna i rada, do dalszych sposobi się plonów.
Na wilgotnym, świeżo zoranym polu, nikła postać chłopca już tonie w zmroku. Nia czuje on zmęczenia ni trudu. Lęk odbiegł od niego. Głowę uniósł wysoko i spojrzenie poważne utkwił przed siebie. Cichy, jesienny wieczór otacza go, wkoło spowija smugą gęstej mlecznej mgły, pod skrzydło swej ciszy bierze...

Kraków, 8. września 1915.

Polonia w Salzburgu.

Radosna wiadomość o stałych postępach sprzymierzonych armii ku wschodowi była dla licznych kolonii polskich na wychodźtwie hasłem do zwijania namiotów. Uczynić to było tem łatwiej, im mniej gdzieś zbudowano; gdzie stworzono wiele, tam działać trzeba było powoli i planowo, zwijając poszczególne instytucye, aby przez zbytni pospiech nie pozbawiać przedwcześnie pomocy potrzebujących, albo nie niszczyć z trudem włożonej pracy przed wydaniem plonu.



Polonia w Salzburgu: Roboty wiosenne w ogrodach Komitetu polskiego.

Tak też postąpił wzorowo zorganizowany pod przewodnictwem księżnej Andrzejowej Lubomirskiej komitet salzburski, który dzierżył przez rok cały kierunek życia polskiego w księstwie, niosąc wychodźcom pomoc materyalną i ulgę moralną i zobowiązywał przymusem obywatelskim całą intelligencyę do wspólnej, zgodnej pracy. Zwolna i w miarę istotnej potrzeby zwijano sekcyę po sekcyi, instytucyę po instytucyi, dając im możność dojrzenia i wydania w zupełności plonów.

Kursa robót kobiecych dla pań z inteligencyi i kursa ludowe dla dziewcząt, pozostające pod kierunkiem niestrudzonej w pracy obywatelskiej p. Eugenii Skrzyńskiej z Zurawna, zakończono publiczną wystawą, którą zaszczycił swą obecnością prezydent dr. Dembowski. Wystawa, przez kilka dni otwarta i bardzo licznie zwiedzana przez Niemców, była wielkim sukcesem pań polskich, dała bowiem poznać obcym najrozmaitsze gałęzie pracy Polek, zawsze odznaczającej się dobrym smakiem artystycznym, a już największą atrakcyę stanowiły klockowe koronki i kilimy polskie.

Szwalnię, dającą skromny lecz uczciwy zarobek ubogim dziewczętom polskim i kształcącą je fachowo do przyszłego zawodu, zamknięto, gdyż zabrakło pracownic. Parcelami ogrodowemi, które z wiosną oddał komitet pod uprawę wychodźcom, zajęto się teraz, gdyż wielu, z zachodniej Galicyi pochodzących, opuszczało Salzburg przed zebraniem plonów. Parcele te rozdzielono między pozostających dłużej na wychodźtwie, odkupując od wyjeżdżających plony na pniu.

Owocną działalność ochronki polskiej, skupiającej przez rok cały prawie ubogą, pozbawioną opieki dziatwę, przerwała wojna włoska, gdyż z jej wybuchem zajęto lokal szkółki na cele wojskowe.

Szkoła ludowa, wydziałowa i gimnazyum ukończyły rok szkolny egzaminem, dając uczniom patenty na przejście do klasy następnej. Serdecznym odruchem młodzieży gimnazyalnej było podziękowanie, złożone gronu profesorów w formie uroczystości szkolnej, w czasie której wręczono dyrektorowi za-

kładu ofiarę pieniężną na Legiony polskie, zebraną z oszczędności uczniowskich. Wdzięczni rodzice uczniów żegnali profesorów specyalnym wieczorem.

Niezapomnianą dla członków salzburskiej Polonii zostanie uroczystość pożegnania księżnej Lubomirskiej, która dokonawszy pięknego dzieła na wychodźwracających do kraju członków i trwać do końca, niosąc potrzebującym pomoc materyalną i służąc poradą we wszystkich sprawach wychodźczych.

Uszczuplony dziś w swoich agendach i gasnący w miarę zmniejszenia się kolonii wychodźczej komitet salzburski był przez rok cały nie tylko oparciem





Grono profesorów gimnazyum polskiego. **Polonia w Salzburgu:** W biurze Komitetu polskiego.

twie, pospieszyła na nowy posterunek pracy obywatelskiej do Przeworska. Z serdecznem wzruszeniem żegnała Polonia swą dostojną przewodniczkę pracy na tułactwie, składając jej zasłużony hołd i zapewnienie uroczyste wdzięczności z życzeniem szczęścia na dalszej drodze pracy dla dobra rodaków.

Odjeżdżając, zasiliła księżna przewodnicząca kasę komitetu znaczną kwotą, wyjednaną u komitetu szwajcarskiego w Vevey, którą przeznaczono na wydatne zapomogi dla wychodźców, wracających do zniszczonych okolic kraju.

W myśl życzenia księżnej, którą zarząd komitetu nadal za duchową swą przewodniczkę uznaje i z którą w ważnych sprawach się porozumiewa, postanowiono uzupełniać komitet w miarę wyjazdu i ostoją moralną dla licznej rzeszy tułaczy polskich, ale też dobrą szkołą pracy obywatelskiej i budującym przykładem, jak wiele zdziałać można, jeśli się działa bez celów ubocznych w służbie ogólnego dobra.

Cześć zasłudze inicyatorów i licznych pracowników tego zbożnego dzieła!

Zgon byłego komendanta krakowskiego korpusu.

Z Wiednia nadeszła w ubiegłym tygodniu smutna wiadomość o zgonie jenerała, barona Eugeniusza Albori'ego, byłego komendanta krakowskiego korpusu, a następnie szefa rządu krajowego Bośni i Hercogowiny i inspektora wojsk.

Jako komendant korpusu, potrafił jenerał Albori zająć wobec krakowskiego obywatelstwa tego rodzaju stanowisko, iż pozyskał sobie ogólną sympatyę i uznanie, nic też dziwnego, że pomiędzy wojskowością a ludnością cywilną zapanowały jak najlepsze wzajemne stosunki, życzliwość i zaufanie.

Także i w sferach wojskowych, tak wyższych jak i niższych, cieszył się zmarły nadzwyczajną sympatyą, a to dzięki swemu taktowi, wyrozumiałości i racyonalnemu pojmowaniu swych obowiązków.

Wobec gminy miasta Krakowa, która w ścisłym związku pozostawać musiała z wojskowością, okazywał zawsze życzliwość i zrozumienie jej interesów, nawzajem też i ona, wedle sił i możności, starała się na każdym kroku dać wyraz ich gorliwego poparcia.

Na tej podstawie i dzięki osobistym towarzyskim przymiotom jenerała Albori'ego, wytworzył się między zwierzchnikiem krakowskiego korpusu,



Polonia w Salzburgu: Ochronka Komitetu polskiego. Siedzą: ksiądz J. Dziedzic, księżna Lubomirska, prezydent dr. Dembowski, książę Lubomirski, p J. Ujejska.



Polonia w Salzburgu: Kursa robót kobiecych pod kierownictwem pani E. Skrzyńskiej (X).



Polonia w Salzburgu; Z wystawy robót kobiecych.

gminą i ludnością nader sympatyczny stosunek, który znalazł też uznanie w najwyższych sferach armii.

To też nic dziwnego, że, gdy jenerał Albori wolą Monarchy powołany został na wielce dlań zaszczytne stanowisko szefa Bośni i Hercogowiny, Rada miasta Krakowa wśród gromkich oklasków jednomyślnie zamianowała go swym obywatelem honorowym, dając w ten sposób wyraz pełnego uznania dla jego działalności i podziękowaniu za wszystko, co dobrego dla Krakowa uczynił.

Także i w Bośni i Hercogowinie, wśród warunków bardzo ciężkich, potrafił sobie baron Albori zjednać najzupełniejsze zaufanie Korony, uznanie i sympatyę miejscowej ludności, oraz przywiązanie podwładnych, którzy także z żalem żegnali go, gdy przenosił się do Wiednia, gdzie też spędził ostatnie lata swego życia.

Zgon jego wywołał szczery żal w szerokich kołach naszego miasta, które sympatyczną postać Zmarłego zachowały w wdzięcznej pamięci.



Zgon byłego komendanta krakowskiego korpusu: Zmarły we Wiedniu jenerał Eugeniusz baron Albori.



Polonia w Salzburgu: Zarząd Komitetu polskiego: (Od lewej ku prawej): dr. J. Wróblewski, prof. A. Ujejski, p. W. Kłosowska, księżna Andrzejowa Lubomirska, p. E. Radwańska, ksiądz J. Dziedzic, pna Z. Radwańska.

Dwa miliony jeńców rosyjskich.

Jedną z wielu niespodzianek, jakie zgotowała obecna wojna, jest olbrzymia liczba jeńców. Wytłumaczyć to można poniekąd techniką obecnej wojny. Wobec morderczego ognia współczesnej broni, oddziałom wojsk, które dały się osaczyć i znalazły się w piekielnym ogniu nieprzyjacielskim, nie pozostaje nic innego, jak tylko zginąć lub poddać się. To też najtrudniejszą rzeczą w obecnej wojnie jest umiejętne przesuwanie poszczególnych jednostek bojowych, a pod tym właśnie względem armia rosyjska najbardziej szwankuje. Pchając bezmyślnie całe masy wojska, dawała jeńców dziesiątkami tysięcy. Nie ulega też wątpliwości, że na tym punkcie Rosya zdobyła rekord światowy. Dziś w Niemczech i Austryi znajduje się około dwóch milionów jeńców. Cała olbrzymia armia znalazła się w niewoli. To też jeniec rosyjski przestał już obecnie budzić sensacyę, bo pełno ich wszędzie, a był czas, że prawie codziennie prowadzono ich tysiącami przez Kraków. Były pomiędzy nimi wszystkie rodzaje broni i różne narodowości, ale na ogół wszyscy są ze swego losu bardzo zadowoleni, czemu dają chętnie wyraz, nie tając swej radości, że wreszcie udało im się dostać do niewoli...



Dwa miliony jeńców rosyjskich: Jeńcy rosyjscy w szpitalu garnizonowym w Krakowie.

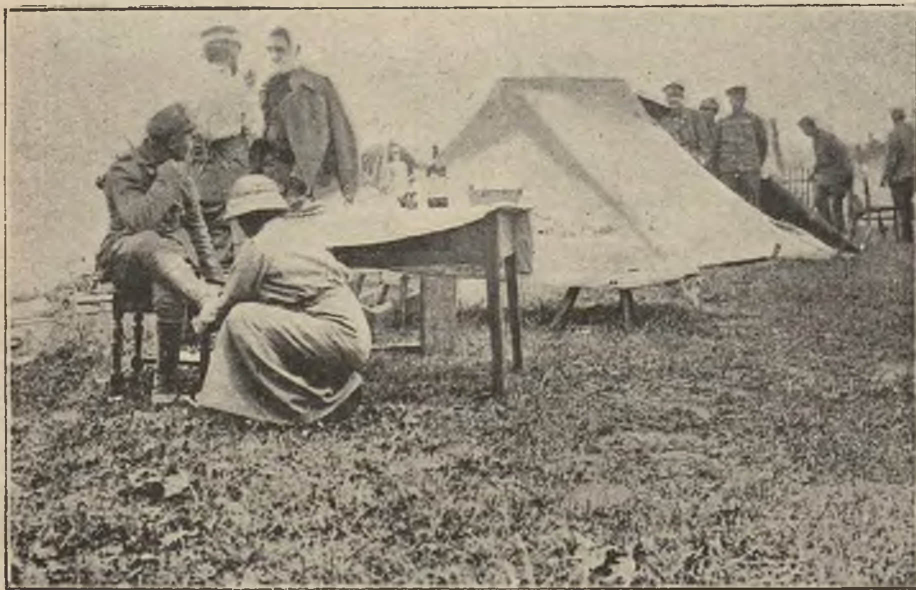
W dzisiejszym numerze zamieszczamy kilka fotografii z życia tych „obrońców Rosyi“ w Krakowie, a mianowicie grupę jeńców w szpitalu garnizonowym.

Szosa od Wyszkowa do Pułtuska ciągnie się szlakiem ostatnich walk między Narwią a Bugiem. Okopy, rowy strzeleckie, głębokie wyrwy w ziemi, zgliszcza domów, groby przydrożne są wymownemi śladami zmagań, jakie się tu odbywały.

Zasłużony awans.

Komendant oddziału straży wojskowo policyjnej w Krakowie, p. Wacław Kalik, został Najwyższem rozporządzeniem z dniem 1. września b. r. zamianowany c. i k. majorem. Znany i dla zalet osobistych powszechnie ceniony, zdobył sobie p. Kalik w czasie dwunastoletniej działalności w naszem mieście jako komendant nie tylko uznanie swych wojskowych władz przełożonych i miejscowych władz politycznych, ale także i szerokich kół tutejszego obywatelstwa. Wśród trudnych warunków, niejednokrotnie z całkiem surowego materyału, z którego się żołnierze policyjni rekrutują, zdołał p. Kalik postawić swój oddział na wysokości zadania, co się w znacznie polepszonych stosunkach bezpieczeństwa publicznego w Krakowie odczuć daje. Sprawiedliwy, i o dobro swych podwładnych zawsze dbały, otoczony jest czcią i miłością podległych mu oficerów i żołnierzy.

Zasłużony awans p. majora Kalika wzbudził sympatyczne uznanie w szerokich kołach jego znajomych i odbił się echem w niezliczonych gratulacyach.



Z życia Legionów: Opatrunek w polu.



Dwa miliony jeńców rosyjskich: Jeńcy z 11 grenadierskiego pułku, wzięci do niewoli przez Legionistów.

W zwycięskim pochodzie na Wschód.

Gdy numer ten dojdzie rąk Czytelników, prawdopodobnie i ostatnia twierdza rosyjska, Równo, zostanie zdobytą. Armie sprzymierzone zdobyły najsilniejsze twierdze rosyjskie, jak Kowno, Brześć Litewski i t. d., wprost ze zdumiewającą szybkością i prą dalej w zwycięskim pochodzie na Wschód. Nie należy jednak przypuszczać, że Rosyanie, którzy unikają stanowczej bitwy, cofają się bez oporu. Przeciwnie, jak stwierdza komunikat urzędowy, wojska muszą krok za krokiem wypierać nieprzyjaciela, który stawia zacięty opór.

W okolicach bagnistych Rosyanie wyzyskują właściwości terenu na swoją korzyść. Umacniają wąskie przejścia wśród bagien i opierają swe stanowiska o koryta rzek. Mimo to ofenzywa sprzymierzonych wojsk czyni ciągle postępy, aczkolwiek tempo jej nie może być już tak szybkie, bo armie sprzymierzone posuwają się na Wschód wśród ciągłych walk i kontrataków rosyjskich.

O rozmiarach i zażartości tych walk, świadczą najlepiej ich ślady — pobojowiska. Opisuje je sprawozdawca warszawskiej „Gazety Porannej“ na terenie niedawnych walk niemiecko-rosyjskich na północny wschód od Warszawy w kierunku Bugu i pomiędzy Bugiem a Narwią.

Pod samym Wyszkowem widać świeże okopy, pościnane przez granaty drzewa, popalone domy. Nad Bugiem w Struszewie podziurawione pociskami armatniemi domy, sterczące kominy przypominają, że tam forsowano przeprawę przez Bug.

Podobny a niekiedy jeszcze bardziej wstrząsający obraz przedstawiają wszystkie wogóle miejscowości, z których cofają się Rosyanie. Bo unikają oni wprawdzie walnej bitwy, ale cofają się krok za krokiem, stawiając zacięty opór, który armie muszą przełamywać w ciągłych walkach.



Polonia w Salzburgu: Grono nauczycielskie Ochronki polskiej. (Od lewej ku prawej): księżniczka M. Lubomirska, pna A. Wojewska, pna H. Skrzyńska, p. J. Ujejska (kierowniczka) p. M Baranówna.



Z życia Legionów: Kuchnia polowa drugiego pułku.



Zasłużony awans: Komendant krakowskiego oddziału straży wojskowo-policyjnej, c. i k. major Wacław Kalik.

MICHAŁ MORPHY.

KRWAWE MILIONY.

Tłum. z francuskiego **MARYA SEGENY.**

10

Pułkownik Rieux usiadł ciężko i zakrył twarz rękami. Nie mógł znieść tego upokorzenia, tego wstydu. Jego nazwisko! nazwisko dotąd niczem nieskalane, będzie teraz wywłóczone tu, w tym gmachu policyi, narówni z nazwiskami ostatnich zbrodniarzy i włóczęgów.

— Nie odnalazł jej pan jeszcze, panie prefekcie? — zapytał w końcu złamanym głosem.

— Nie, jeszcze nie! — odparł urzędnik — ale jesteśmy już na śladzie.

Mówiąc to zadzwonił i wkrótce potem wszedł woźny biurowy, niosąc stos dokumentów i aktów.

— Rozpatrzmy wszystko szczegółowo — mówił prefekt, zabierając się do przeglądania papierów. — W rubryce „śmierci i wypadki“ nie znaleziono tego nazwiska, jak również w rubryce „szpitale“. Jest więc dotąd wolna i zdrowa. Przepatrzmy teraz zapiski hotelowe, pokoje umeblowane. Także nic niema. Widocznie nie posiadała przy sobie potrzebnej sumy, aby módz umieścić się wygodniej?

— O ile wiem... o ile mi się zdaje, była pozbawioną wszelkich środków utrzymania — szepnął z wysiłkiem pułkownik Rieux.

— A więc prawdopodobnie znajduje się u kogoś, posiadającego własne mieszkanie — wyrzekł urzędnik, patrząc badawczo w oczy nieszczęśliwego ojca. — Musiała powrócić do dawnego kochanka, lub też zamieszkała przy której z koleżanek. Praktykuje się to często w tym świecie... w którym znajomości...

— Ależ jakie ona znajomości mieć mogła!...

— Różne i to nie najlepsze. Przez dwa miesiące żyła bardzo wesoło w towarzystwie jakiegoś młodego człowieka, przezwanego „pięknym Andrzejem“, a po którym również w tym samym czasie ślad zaginął. Poszukujemy go właśnie.

Pułkownik Rieux zerwał się z krzesła, jakgdyby popchnięty nagłym napływem energii. Oczy jego zabłysły gorączkowo.

— Oho! — pomyślał prefekt — Zdaje mi się, że porachunki z „pięknym Andrzejem“ będą z tej strony sumiennie załatwione.

— Czy panu prefektowi znane jest nazwisko tego człowieka? — zapytał Rieux przytłumionym głosem.

— Tak i nie! W meldunkach hotelowych zapisany jest jako Andrzej Dupont. Nazwisko jest fałszywe, ale imię wiarogodne. Ow Andrzej żył czas jakiś z niejaką Luizą Meunier, odpowiadającą bardzo opisowi, jaki pan mi dał o swojej córce, panie pułkowniku. Niema wątpliwości, to ona. Po zerwaniu z tamtym chciała powrócić pod dach rodzicielski i od tego czasu ślad po nich już ginie. Ale teraz, dzięki właścicielce hoteliku, w którym zamieszkał pan Andrzej, wiemy już o nim cośkolwiek jak również o córce pana. Poczynimy skrzętne poszukiwania i mam nadzieję, że do piętnastu dni choć jedno z nich wpadnie nam w ręce.

— A jeżeli do tego terminu nie osiągnie pan żadnego rezultatu?

— W takim razie sprawa zostanie zawieszona i czekać będziemy jakiejś sprzyjającej okoliczności luk nieostrożności jednego z nich! Innego sposobu niema!

— Panie prefekcie, co to za człowiek ten Andrzej?

— Nic dobrego. Żyje niewiadomo z czego i jak, a znany jest w nocnych lokalach zabawy, gdzie uczęszczają kobiety lekkiego prowadzenia.

— Sądzę, że jego policya odnajdzie z łatwością. Jeżeli się to stanie, proszę bardzo natychmiast mnie o tem zawiadomić.

— Ależ oczywiście, a tymczasem radzę panu czynić poszukiwania ze swojej strony i przejrzeć raporta policyjne.

— Tak, uczynię to niezawodnie. Kiedy mam znowu powrócić, panie prefekcie?

— Kiedy pan zechce. Gdyby coś było nowego, dam znać panu. Ale wie pan co? Przyszła mi myśl do głowy. Pragnę uczynić wszystko możliwe, aby przyjść panu z pomocą i przyspieszyć sprawę. Zaprowadzę pana na inspekcyę policyi i do aresztów. Może się dowiemy czegoś nowego.

— Ale w jakim celu, panie prefekcie? — zapytał Rieux przerażony tą propozycyą. — Informacye podane mi przed chwilą wydają mi się zupełnie dostateczne i nie widzę potrzeby...

— Informacye te sam odebrałem rano drogą administracyjną, ale do tej pory władze ciagle funkcyonujące mogły coś już zdziałać. Chodź, pułkowniku, za mną.

Rieux pomimo woli był zmuszony towarzyszyć profektowi, który zaprowadził go na olbrzymie podwórze więzienne, gdzie właśnie przywieziono nowy transport aresztowanych kobiet i mężczyzn.

Pułkownik przystanął i zmuszony był oprzeć się o jakieś drzewo, gdyż na myśl, że pomiędzy tym rozwydrzonym, wyklinającym tłumem przestępców, mógł odnaleźć dziecko własne, serce zamarło mu w piersiach i czuł, że go siły opuszczają zupełnie.

— No, no, Rieux, odwagi! — szepnął zachęcająco prefekt, patrząc ze współczuciem na twarz jego pobladłą. — Przejdźmy teraz na salę inspekcyi. Nazwiska świeżo przybyłych będą już tam podane.

Siłą woli pułkownik pokonał ogarniającą go niemoc i już pewnym krokiem podążył za swoim przewodnikiem.

— Jesteśmy już na miejscu — rzekł prefekt, gdy znaleźli się w obszernej sali, gdzie panował ruch i zamieszanie.

Kilku policyantów wprowadzało i wyprowadzało kolejno obwinionych, których nazwiska komisarze, siedzący przy stołach, zapisywali w dużych księgach. Gdy ruch się zmniejszył cokolwiek, prefekt jednemu z nich kazał sobie podać akta do przejrzenia.

— Niema nic! — rzekł po chwili — Musimy jeszcze pójść na salę kobiet. Swieży transport powinien tam już być od godziny. Może córka pana podała fałszywe nazwisko i dlatego odnaleźć jej nie możemy.

Spiesznie pociągnął za sobą nieopierającego się już pułkownika i po chwili weszli przez długi korytarz do sali kobiet.

Dziwne uczucie owładnęło nieszczęśliwym ojcem, gdy znalazł się pomiędzy tym różnorodnym tłumem kobiet, około których z łagodnym uśmiechem na ustach kręciły się zakonnice o dużych białych kornetach, osłaniających białe, pogodne twarze. Szły one od jednej do drugiej, pocieszając smutniejsze, przemawiając poważnie i stanowczo do zbuntowanych, a dla każdej mając jakieś słówko litości i wybaczenia. Pułkownik powiódł okiem dookoła i westchnienie ulgi wybiegło z jego twarzy, gdy pomiędzy temi kobietami różnego wieku i wyglądu nie znalazł tak dobrze sobie znanej twarzy córki.

W rogu sali starsza zakonnica o dużych łagodnych oczach mówiła coś do młodej zapłakanej dziewczyny, stojącej pokornie w pochylonej postawie. Dźwięk jej przekonywujących słów dobiegł do pułkownika.

— Nie należy nigdy rozpaczać — mówiła zakonnica — i tracić nadziei, moje dziecko. Trzeba tylko gorąco chcieć i wierzyć w poprawę dalszego życia. Jesteś tak młodą jeszcze. Przekonasz się, jaka to radość módz podnieść się z upadku z własnej woli i pragnienia. Jedna chwila silnego postanowienia, skruchy i wiary silnej w opatrzność boską, zdziałać może, że ty, która się czujesz teraz tak nizko upadłą, odzyskasz dawną swoją dziecinną prostotę i czystość duszy. Niema winy, któraby nie mogła otrzymać przebaczenia. Myśl tylko o matce swojej biednej, dziecko i przez wzgląd na nią staraj się zapomnieć o przeszłości.

Słowa zakonnicy wywarły silne wrażenie na nieszczęśliwej istocie. Z cichym jękiem pochwyciła jej rękę i gorąco do ust przycisnęła, łkając cicho. Pułkownik Rieux, niemy świadek tej sceny, niemniej uczuł się wzruszony.

W duszy jego poraz pierwszy obudziło się gorące pragnienie przebaczenia nieszczęśliwemu swemu dziecku, otoczenia go czułą opieką i staraniem, wzbudzenia w niem wiary w lepszą, jaśniejszą przyszłość. Uczuł, że dotąd za surowym był dla niej, że wina jej poruszyła w nim nie struny serca, lecz jedynie honoru i ambicyi i że dla tych przyczyn tylko czynił poszukiwania za zaginioną. Teraz jednak postanowił zmienić się i iść ku niej ze słowami szczerego przebaczenia i nadziei.

Gdy w chwilę później wychodził z gmachu policyi, niktby w nim nie poznał dawnego, przygnębionego starca. Postać pochylona wyprostowała się, twarz wypogodziła się i straciła surowy, zawzięty wyraz, a oczy błyszczały radośnie.

Pułkownik Rieux miał cel przed sobą, do którego szedł z całą wiarą i zapomnieniem o sobie.

Slubna suknia.

Luiza Rieux nie domyślała się bynajmniej zmiany zaszłej w ojcu, o którym myślała ciągle z trwogą, podnieconą wyrzutami sumienia. Nie wiedziała, że w kilku najpoczytniejszych dziennikach pojawiły się liczne ogłoszenia, wzywające ją do powrotu i oznajmiające jej zupełne przebaczenie ojca. Z jakąż radością teraz byłaby pobiegła na ulicę Clichy i upadła w jego ramiona, szukając w nich otuchy i pociechy, a potrzebowała jej tak bardzo, pomimo gorącej przyjaźni, jaką jej okazywała Janka jedyna życzliwa i sympatyczna jej istota z zakładu pani Wiktoryi. Od pierwszego dnia młode dziewczyny przylgnęły do siebie, szukając wzajemnie swojego towarzystwa, broniąc się tam instynktownie przed zaczepkami innych pracownic i słodkiemi słówkami pani Wiktoryi, w której szczerość uwierzyć nie mogły.

Tego dnia Janka, jak zwykle, siedziała przy oknie w pokoiku swojej przyjaciółki. Obydwie zajęte były wykończaniem jakiegoś skomplikowanego haftu, gdy nagle do pokoju wbiegła pani Wiktorya z zaniepokojoną twarzą.

— Ach, moje kochane, gdybyście wiedziały w jakim znajduję się kłopocie — zawołała z progu — Wyobraźcie sobie, że przybył tu do mnie pewien magnat rosyjski, książę Domerow, i zamówił całą wspaniałą wyprawę dla córki, która przybywa do Paryża za dwa tygodnie na ślub swój i pragnie, aby wszystko było do tego czasu gotowe. Naturalnie, zamówienie doskonałe, przy którem będę mogła zarobić parę tysięcy franków, ale cóż z tego, kiedy żadna panna z pracowni nie odpowiada mierze, podanej mi przez księcia! Drżę z zaniepokojenia, co będzie, jeżeli wyprawa się nie uda. Luizo, moje dziecko, wstań na chwilę, może ty mi posłużysz za manekina.

Młoda dziewczyna posłusznie powstała i zbliżyła się do pani Wiktoryi, która szybko, niespokojnemi ruchami, centymetrem trzymanym w ręce wymierzać zaczęła długość jej figury, ramion, bioder.

— Ah! to nie to! to nie to! — biadała krzykliwie — Za wysoka jesteś, moje dziecko, zanadto rozrośnięta. Córka księcia jest młodziutką, delikatną dziewczyną, ty zaś jesteś już prawie kobietą! Mój Boże! Cóż ja pocznę! Bez manekina przystąpić do roboty nie mogę! Oprowadziłam go po pracowni, sądząc, że pomiędzy moimi pannami znajdzie się przecież jedna, przypominająca wzrostem i figurą księżniczkę, ale jak na nieszczęście, książę nie znalazł nic odpowiedniego. Jestem poprostu zrozpaczona! Takie wspaniałe zamówienie! Książę gotów jest udać się do innej pracowni.

— A może ja przydałabym się pani? — rzekła nagle Janka powstając. — Jestem szczuplejszą i niższą od Luizy. Może zechce pani spróbować?

— Dobrze, moje dziecko, sprobujmy — odparła niedbale pani Wiktorya — choć przyznam ci się, że straciłam już nadzieję, bym mogła zadowolić księcia.

Ale jakgdyby za przyczyną jakiegoś cudu podana miara zgadzała się znakomicie z wysmukłą postacią Janki.

— A to rzeczywiście szczęście prawdziwe! — wykrzykiwała pani Wiktorya. — Dziecko moje! Wyprowadziłaś mnie z poważnego kłopotu. Chodź że prędko, niech cię przedstawię księciu! Jeśli teraz jeszcze nie będzie zadowolony, to niechże idzie sobie gdzieindziej szukać czegoś odpowiedniejszego.

Mówiąc to, pociągnęła za sobą zarumienioną młodą dziewczynę do przyległego saloniku, gdzie oczekiwał książę. Była to poważna osobistość o długich białych faworytach i dumnem wejrzeniu.

— Ekscellencya wybaczy, że kazałam tak długo czekać na siebie — tłumaczyła się pokornie pani Wiktorya — ale zdaje mi się, że tym razem znalazłam to, co nam potrzeba. Miara zgadza się cudownie!

— Rzeczywiście! Widzę to z przyjemnością! — odparł uprzejmie książę, podchodząc do Janki. — Ten sam wzrost, postawa! Nawet z twarzy ta młoda panienka łudząco jest podobna do mojej córki! Włosy i oczy tej samej barwy! Muszę nawet dodać, że jesteś jeszcze ładniejszą od mojej córki. A więc — zwrócił się książę do promieniejącej z radości pani Wiktoryi — przeszkoda dzięki tej miłej panience szczęśliwie usunięta została, liczę zatem na słowność pani i zręczność jej pracownic.

I książę skłoniwszy się wyszedł, odprowadzony przez panią Wiktoryę, rozpływającą się w komplementach i zapewnieniach, że uczyni wszystko, co tylko będzie możliwe, aby zasłużyć na zadowolenie księżniczki. Ale zaledwie znalazła się za drzwiami, zmieniła nagle ton rozmowy i zwróciła się do księcia z poufałem zapytaniem.

— A co? Co o niej powiesz, doktorze?

— Nadzwyczajna! Rozumiem teraz doskonale uparty kaprys hrabiego de Kermor i podzielam go! Jestem gotów zakochać się w niej od pierwszego wejrzenia!

— Jak Delrue! — zaśmiała się pani Wiktorya.

— Któż to taki ten Delrue?

— Zaufany sekretarz markiza, wspólnik bankiera i organizator całej tej kombinacyi.

— A tak! To on! Niechże sobie więc bierze pieniądze, a ja wolę tą małą — to lepsze!

— Oho! Stajesz się wymagający, doktorze. Cóż to znowu ci się zachciewa?

— Nie chcę pracować za darmo, to chyba jasne! Doktorzy każą sobie płacić, nieprawdaż? Niechże więc i ja coś skorzystam z tej komedyi, w której daliście mi do odegrania tak ciężką rolę! Powinna to pani zrozumieć, pani Wiktoryo!

— Rozumiem doskonale i zapeniam cię, doktorze, że nie zostaniesz pokrzywdzony, ale tymczasem idź już do Collin-Megreta, który cię zapewne z niecierpliwością oczekuje.

Konfrontacya.

Szczęście często bardzo miewa swoje nieobliczalne kaprysy. Cała sprawa, która się tak dobrze układała według pragnienia Andrzeja, teraz nagle popsuć się mogła, przez pewną komplikacyę, a właściwie wydarzenie, o którem już dawno on zapomniał. Było to usiłowane morderstwo na ulicy d'Entrepot.

Sędzia śledczy, któremu powierzono wybadanie Barykady, opóźnił rozmyślnie konfrontacyę przez wzgląd na stan zdrowia hrabiego de Kermor. Lecz kiedy wyczytał w dziennikach wzmiankę o powrocie do zdrowia młodego hrabiego i małżeństwie, mającem nastąpić w niedługim czasie, wysłał dwa wezwania, jedno do Henryka, drugie do Andrzeja Delrue, wzywając ich na świadków. Na nieszczęście dla tego ostatniego, obydwa te papiery odebrał Henryk w nieobecności Andrzeja. Gdy tenże zjawił się w pałacu, Henryk wręczył mu wezwanie mówiąc:

— Udamy się razem do Pałacu Sprawiedliwości i ujrzymy naszego sławnego apasza. Będzie to moje pierwsze wyjście od pamiętnego wieczoru spędzonego w Halach i znajdę się dziwnym zbiegiem okoliczności w tem samem towarzystwie.

Delrue spędził tę noc bezsennie, przeczucia różne niepokoiły go i odbierały zwykłą zimną krew i równowagę. Nie mógł przecież nie udać się na wezwanie sędziego, tembardziej, że Henryk był już o tem powiadomiony. Co robić i jak odwrócić grożące mu niebezpieczeństwo? Na samą myśl, że będzie zmuszony stanąć przed tym strasznym bandytą, zimny pot oblewał jego czoło. Barykada mógł teraz zemścić się i wydać go! Delrue był wściekły! Tyle pracy, starań i zabiegów, aby na zawsze uniknąć grożącej mu hańby więzienia, miało teraz być zniszczone od jednego razu... Zrozumiał teraz, że jedno zło fatalnie pociąga drugie, że tworzy się z tego łańcuch nierozerwalny, który skrępować go może i unicestwić na całe życie! I to obecnie, kiedy spokojna, zabezpieczona przyszłość zaczęła uśmiechać się już do niego.

Starał się pocieszać, motywując, że skoro Barykada dowie się, że nie należy do policyi, że nie grał w tej sprawie roli szpiega i donosiciela — nie zechce go zdradzić, gdyż tem samem pogorszyłby własną sytuacyę i musiał wyjawić, że on należał do bandy z ulicy Entrepot.

W każdym razie niebezpieczeństwo groziło mu niemałe, skomplikowane możliwością, że Henryk od pierwszego wejrzenia może w Barykadzie rozpoznać nocnego napastnika.

Postanowił więc jeszcze przed udaniem się na rozprawę stać się wobec Henryka rzecznikiem apasza, który los jego trzymał w swojej ręce.

W tym celu więc rozpoczął z nim rozmowę, udając się nazajutrz do Pałacu Sprawiedliwości.

— Mój Henryku — rzekł przekonywująco. — Muszę ci zwrócić uwagę, że nie pokonaliśmy jeszcze wszystkich trudności i przejść. Właściwie rozpoczynają się one dopiero.

— Jakie przejścia? — zapytał budząc się z zadumy młody człowiek.

— No, nie przypuszczam, aby ci dzisiejsza przechadzka miała sprawić przyjemność.

— To nic wielkiego! Za godzinę będziemy swobodni.

— Tak ci się tylko zdaje. Po tej nie bardzo miłej przechadzce nastąpią inne, właściwie szereg innych. Rozprawy, sądy, świadczenia.

— Cóż chcesz, abym na to poradził?

— Ty nic, ale ja może, w tem, co mnie się dotyczy. Przypomnij sobie, że noc była wówczas ciemna, cała ta scena odegrała się w cieniu wysokich murów, strzeliłem do całej masy, nie mierząc rozmyślnie do nikogo. Wszyscy pouciekali w popłochu, tak, że nie mogłem wyraźnie dostrzedz ani jednej twarzy.

— Masz słuszność. Ja również nie mógłbym wskazać tego, który mnie tak zręcznie zranił nożem. Zdaje mi się, że ich było trzech, nieprawdaż Andrzeju?

— Nie mylisz się, — odparł Delrue. — Jeden z nich nieduży chłopiec, kręcił się koło ciebie, pod czas gdy tamci uciekali — dodał rozmyślnie, broniąc apasza przed podejrzeniami Henryka.

— Tak, i to ten chłopiec widocznie tak mi się dobrze przysłużył. Nie mogłem go rozeznać wśród ciemności, jak również nie mogę sobie przypomnieć tego, którego uderzyłem laską w głowę.

— Dzienniki wspominały o jakimś Kudłaczu, który podobno umrzeć miał w jakimś podejrzanym hoteliku i gdzie aresztowano apasza Barykadę.

— Oh! co do tego, nie mam najmniejszych wątpliwości i poznam go od pierwszego wejrzenia. Zresztą sam mi do tego pomógł, rzucając swoje nazwisko. Słyszę je jeszcze, jak wołał: „Tej małej, to ty nie dostaniesz, mój paniczyku, jakem Barykada, znany postrach kanału. Przypominasz sobie, Andrzeju!

— Przyznam ci się, że nie. Zważ, że straciłem w tej chwili przytomność umysłu. Szukałem po wszystkich kieszeniach rewolweru, którego znaleść nie mogłem, lękałem się. czy go nie zostawiłem w domu.

— Oh! a ja go sobie dobrze przypominam, tego nędznika. Wstrętna twarz buldoga, na korpusie atlety.

Delrue zadrżał. Barykadzie groziło niebezpieczeństwo.

— Chcesz go wydać, Henryku? — zapytał ostrożnie.

— Wydać? — żachnął się niemile dotknięty młody hrabia.

— Porachowałeś się już z nim, tam na miejscu — nacierał Delrue, widząc niechęć przyjaciela. — Niechże sobie idzie dalej swoją drogą. On i tak nie ucieknie sprawiedliwości, gdyż niejedną sprawkę ma już na sumieniu. Na twojem miejscu, nie obciążałbym go już więcej.

Delrue znał dobrze szlachetną naturę Henryka i chciał ją raz jeszcze wykorzystać dla siebie. Widział, że słowa jego podziałały trafnie.

— A przytem byłby to już koniec wszystkiego — dorzucił jeszcze. — Pozostawią nas już w spokoju i zapomną o tej nieszczęsnej wyprawie nocnej. Przyznaj, mój drogi, że nie przynosi ci ona zaszczytu.

— Może masz słuszność, Andrzeju, — odpowiedział po namyśle Henryk. — Ale wierz mi, że wolałbym nie widzieć więcej tego bandytę spacerującego po ulicach Paryża.

— Oh! bądź spokojny pod tym względem, mój drogi, już on więcej spacerować nie będzie. To stary recydywista. Sytuacya jego nie jest bardzo lekka. Strzelał do urzędnika policyjnego, zranił paru ajentów... to dożywotnie więzienie.

Henryk de Kermor nie słuchał już wywodów przyjaciela. Myśl jego jak zawsze powróciła do Janiny le Brenn. Zamyślił się głęboko i po chwili zapytał Andrzeja głosem dziwnie zmienionym.

— Czy zająłeś się tem... o co cię prosiłem?

— Naturalnie — odparł tamten zadowolony z swojej dyplomacyi. — Zapomniałem ci tylko o tem powiedzieć. W przyszłym tygodniu odbędzie się wielki bal maskowy na ulicy św. Łazarza; nocna zabawa na cześć Janiny le Brenn, wyłącznie. Udamy się tam, nieprawdaż?

— Tak, udamy się tam — powtórzył Henryk z trudem. Zabawa wydana na cześć Janiny le Brenn, powiadasz? Z jakiej przyczyny?

— Obchodzić będą uroczyście jej związek z doktorem Magnusem de Viltepré. Zabawa ma być wspaniała!

Panna Janina podobno wymyśliła niejedną niespodziankę dla swoich gości.

Henryk wstrząsnął się nerwowo i więcej już nie pytał.

— Zdaje się, że dochodzimy już — rzekł chcąc zmienić temat rozmowy. — Budynki sądowe mieszczą się z prawej strony.

Weszli do gmachu, dalej po schodach na piętro i oddali woźnemu, stojącemu przy drzwiach sali rozpraw swoje wezwanie.

Musieli czekać dłuższą chwilę, gdyż właśnie odbywało się, pod silną eskortą, przeprowadzenie apaszów z więzienia... Największe trudności miano ze strasznym Barykadą. Ryczał, jak zwierz dziki, i w żaden sposób nie pozwolił sobie kajdanków nałożyć na ręce. W końcu, przy pomocy pięciu najsilniejszych dozorców, dało się to uskutecznić.

Nareszcie woźny zawołał:

— Hrabia de Kermor! — pan Delrue!

Andrzej powstał, trzęsąc się nerwowo; czuł przyspieszone bicie serca i silny zawrót głowy! Henryk wszedł pierwszy pozostawiając przyjaciela za drzwiami, za którymi rozegrać się miały dalsze jego losy.

Sala była obszerna, przedzielona na dwie części; w jednej siedział sędzia, w drugiej pisarz ze znudzoną, bladą twarzą. W głębi stało kilku policyantów gotowych na zawołanie. Pomiędzy dwoma biurkami znajdował sie mały stolik, przy którym siedział, plecami zwrócony, człowiek jakiś. Po szerokim czerwonym karku i potężnych ramionach, Henryk natychmiast poznał Barykadę.

Sędzia powstał i wskazał młodemu człowiekowi krzesło po lewej stronie siebie.

Apasz zdawał się być spokojnym; pomrukiwał tylko od czasu do czasu, spoglądając ze złością na ręce swoje skute kajdankami. Bez tych „bransoletek“ myślał, byłbym natychmiast wolny. Milczał, z pod oka spojrzał na Henryka. Poznał go natychmiast. — Mój ptaszek żyje jeszcze? — zdziwił się w duchu. — Myślałem, że mu przecież dogodziłem w porządku. Teraz mnie tu ładnie obmaluje! Ano, trudno! Wiem, co mnie czeka!

Apasz nie znał trwogi; wyzywająco, prosto spojrzał w oczy młodego człowieka, którego ta pewność siebie i odwaga gotowa na wszystko — przyjemnie zdziwiła.

— Poznaje pan tego człowieka? — zapytał sędzia, którego uwagi nie uszło zuchwałe spojrzenie obwinionego, a które on już mógł uważać za wyznanie.

Henryk i Barykada raz jeszcze zmierzyli się oczami. Spojrzenie apasza zabłysło teraz gorączkowo, zamigotał w niem gniew i wstyd.

— Czy poznaje pan tego człowieka — powtórzył zapytanie sędzia, pewny już teraz twierdzącej odpowiedzi.

— Nie! — odpowiedział poważnie młody hrabia. — Nie znam go.

Sędzia powstał i sądząc, że źle dosłyszał, powtórzył po raz trzeci:

— Czy pan poznaje tego człowieka? Proszę odpowiedzieć wyraźnie.

— Nie, panie sędzio, nie znam go — brzmiała spokojna odpowiedź.

Nad salą zawisła nieprzerwana cisza; sędzia zdziwiony, milcząco spoglądał na dwóch przeciwników, jakgdyby czekając wyjaśnienia tej sceny.

W duszy zaś Barykady zrodziło się nagle zdumienie i podziw. Rozszerzonemi źrenicami śledził twarz młodego człowieka i spojrzenie jego łagodniało stopniowo. Tego się nie spodziewał!

Więc on, „ten ptaszek“, rozmyślnie udawał, że go nie poznaje, aby go „nie zasypać“. Nawet mu na myśl nie przeszło, że tamten mógł to uczynić z lęku przed nim! Widział przecież, jak się zachował odważnie wobec napaści. Litość także nim nie powodowała. Czuł doskonale, że Henryk de Kermor nie może się nad nim litować! Czynił to jedynie z dumy. Hrabia nie chciał być donosicielem. Przekonanie to wywołało podziw i szacunek apasza. Na dnie jego zatwardziałego sumienia kiełkować zaczęło lepsze jakieś uczucie. Ten „paniczyk“, wróg i oskarżyciel, nie chciał korzystać z praw swoich. Ze spojrzenia apasza, Henryk zrozumiał nagle, że człowiek ten oddaje mu się na usługi na życie całe! Że gotów uczynić wszystko, aby mu się odwdzięczyć za tę chwilę. Barykada, pomimo, iż był zbrodniarzem, posiadał także swój honor i dumę. Nigdy jeszcze nie zdradził nikogo, choćby najzaciętszego wroga! Zrozumiał postępowanie Henryka i spojrzeniem dawał mu wyraźnie do poznania, że odtąd staje się jego dłużnikiem i wiernym niewolnikiem.

Sędzia nie mógł się jeszcze opamiętać. Zaczął rozpytywać Henryka de Kermor, zachodzić go z różnych stron, aby go przymusowo naprowadzić na wyznanie. Wszystko napróżno! Henryk dawał stanowcze, zbijające odpowiedzi, które w coraz większy podziw wprowadzały apasza.

— Pan hrabia nie chce być niepokojony dochodzeniem rozprawy — zakonkludował w duchu sędzia. — Nic z niego nie wyciągnę, to jasne! Przejdźmy do tamtego.

Ale zanim kazał zawezwać Andrzeja Delrue i odprowadził Henryka do drzwi wejściowych, zapytał jeszcze od niechcenia:

— Ciało Kudłacza wystawione jest jeszcze w Morgue. Pójdziemy go rozpoznać, nieprawdaż?

— Uważam to za niepotrzebne zupełnie — odparł młody człowiek. — Powtarzam, że nie przypominam sobie ani jednej twarzy.

Skłonił się zimno przed sędzią i wyszedł.

W tej samej chwili sędzia niezadowolony z pierwszego świadka, kazał zawezwać Andrzeja Delrue.

Na widok jego, Barykada poczerwieniał z gniewu i rzucił mu straszne spojrzenie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Opera w Krakowie.

Krakowskie Towarzystwo operowe wystawiło w ubiegłym tygodniu fantastyczną operę J. Offenbacha p. t. „Opowieści Hofmana“. Dzieło to, tak ulubione u publiczności krakowskiej, zyskało sobie w obe-



Opera w Krakowie: H. Zathey w „Opowieściach Hofmana“.
Lindorf. Copelius.

cnem wykonaniu zupełne powodzenie, czego dowodem była wysprzedana zupełnie sala na czterech przedstawieniach. Jakkolwiek fachowe recenzye podnosiły niektóre słabe strony wykonania, zrozumiałe zupełnie wobec niezwykle trudnych obecnie warunków przedstawień operowych, to jednak żywe oklaski publiczności dawały co chwila dowody szczerego zadowolenia słuchaczy. Na czoło wykonawców wysunęli się pp.: Łowczyńska (Antonia), Kryształowiczowa (Olimpia) oraz pp.: Łowczyński (Hofman) i Zathey (Demon). Ten ostatni, były artysta operowy sceny lwowskiej i czerniowieckiej dał w „Opowieściach“ zwycięską próbę swego talentu w trudnej partyi poczwórnego demona.



Opera w Krakowie: H. Zathey w „Opowieściach Hofmana“.
Dapertutto Dr. Mirakolo.



Z walk w Galicyi· Zbombardowany dom pod Tarnowem.



Z walk w Galicyi: Groby poległych żołnierzy w Machowie pod Tarnobrzegiem.

Samarytanin polski w Pradze.



Samarytanin polski w Pradze: Zarząd praskiego koła „Samarytanina polskiego“. (X) Pierwszy prezes dr. Edward Schnayder, (XX) prezes obecny, prof. Zygmunt Schneider.

Dnia 5. marca 1915 roku powstało w Pradze „Koło praskiego Samarytanina polskiego“ pod wezwaniem św. Wincentego a Paulo, mające na celu niesienie pomocy rannym Legionistom oraz rodakom wychodźcom, pozbawionym środków do życia w obecnej dobie wojennej.

Pierwszy zarząd, w skład którego weszli: dr. Edward Schnayder z Krakowa jako prezes, ksiądz Julian Adam Knopp z Borsurowa jako wiceprezes, Stanisław Rachwał ze Lwowa jako sekretarz i Michał Knopp z Przemyślan jako skarbnik, rozpoczął ożywioną działalność, zyskując nowych członków i fundusze. Fundusze Koła płynęły przeważnie ze składek w czasie nabożeństw polskich, urządzanych przez księdza Knoppa. Od pierwszej chwili swego istnienia aż po koniec sierpnia 1915 roku udzieliło Koło zapomóg pieniężnych w kwocie 2480 K. 10 h., zapomóg w ubraniu i bieliźnie 247 osobom o łącznej wartości około 2500 koron, nadto ze swego ramienia wysyłało lekarza, który bezinteresownie udzielił porady lekarskiej 118 osobom.

Obecny zarząd stanowią: prof. Zygmunt Schneider (prezes), ksiądz Julian Adam Knopp (zastępca prezesa), prof. Stanisław Waydowicz (sekretarz), prof. Antoni Mudrak (skarbnik). Nadto członkami zarządu są: dr. Jakób Homicz, dr. Karol Matyas, ksiądz Franciszek Karkowski, Michał Knopp, Michał Skorny i Jan Mikluszka.

Kronika tygodniowa.

Obecnie bawię się w ornitologa i ze szczególniejszem zamiłowaniem badam życie i zwyczaje jaskółek pokojowych, które z jednej strony lecą od strony Watykanu, z drugiej zaś z Ameryki, gdzie wypuszcza je prezydent Wilson, o ile nie jest zajęty obliczaniem zysków, jakie wyciągły Stany Zjednoczone ze swojej neutralności lub też kalkulacyą, ile wart w gotówce jeden Amerykanin, jadący na okręcie storpedowanym przez łódź podwodną.

Pozatem redaguje on także i noty do mocarstw europejskich, równie ciekawe jak wstępne artykuły naszych pism politycznych, obrabiające politykę wielkoświatową z najrozmaitszego punktu widzenia.

„Platforma", z której zapatrują się na sytuacyę polityczną demokratyczni „Reformaci", jest zasadniczo różną od takiejże nabożnych „Czasowników" i „Głosonarodowców", inaczej wentyluje sprawy „Kuryerek", inaczej „Naprzód", wszyscy jednak politycy, jako iż mają długi, mniej lub więcej parszywe, zgadzają się na jedno, mianowicie, iż moratoryum dla Galilei musi być stanowczo przedłużone, gdyż w przeciwnym razie grozi nam ruina.

Onegdaj radziliśmy nad tem do godziny drugiej nad ranem, (bo i kronikarz ma długi!) i doszliśmy do przekonania, że położenie finansowe jest „pod psem" i że trzeba koniecznie oglądnąć się za deską ratunku.

A nie bylejacy ludzie wzięli udział w obradach, bo były radca miejski i znany przemysłowiec, kolejarz z całkiem złotym kołnierzem, profesor gimnazyalny, adwokat i niżej nie podpisany kronikarz. Razem zastąpionych było siedmnaście stronnictw politycznych, każdy z nas bowiem należy do kilku, bądźto jako członek czynny, bądź też honorowy.

Zgodziliśmy się na jedno, że moratoryum musi być, bodaj do końca roku przedłużone, nie przesądzając kwestyi, czy i dalszy ciąg jego nie będzie potrzebny, zwłaszcza, jeśli się wojna tymczasem nie skończy. Jeden tylko adwokat był przeciwnego zdania, twierdząc, że raj na ziemi zacznie się dopiero wtedy, gdy moratoryum dyabli wezmą, a adwokaci dobiorą się do skóry różnych wierzycieli.

Nawymyślaliśmy przy tej sposobności kamienicznikom, którzy nie chcą ani słyszeć o zniżeniu czynszów za mieszkania, kupcom za lichwę żywnościową i uchwaliliśmy ostatecznie, że trzeba się zwrócić do prezydenta Wilsona, aby w sprawie galicyjskiego moratoryum wydał orędzie do wierzycieli, gdyż łatwo stać się może, iż po zniesieniu moratoryum, mógłby przez którego z adwokatów zostać storpedowanym procesowo i obywatel Stanów Zjednoczonych, co pociągnęłoby *eo ipso* zaostrzenie sytuacyi i tak już dość niejasnej.

Pan Wilson, jako szczery demokrata, nie odmówi nam chyba podania pomocnej ręki, za co już z góry składam mu imieniem galicyjskich dłużników podziękowanie i obiecuję pomoc przy najbliższych wyborach, choć to podobno w Stanach Zjednoczonych nie można być wybranym prezydentem na dwie, bezpośrednio po sobie następujące kadencye.

Kto jednak chce tylko, może wszystko zrobić. W danym wypadku wysłalibyśmy mu cały wagon hyen wyborczych, co to umieją gadać nawet z nieboszczykami i przywracać ich do życia na czas głosowania. Przywiozłyby one ze sobą także przepis, jak się sporządza kiełbasę wyborczą wedle recepty krakowskich demokratów, zatwierdzonej przez magistrat.

Co do owych jaskółek, o których wyżej mowa, to są one na razie jeszcze bardzo daleko i golem okiem ich nie widać, chyba przez polityczną lornetę, ponieważ zaś takowej nie posiadam, zwróciłem się z prośbą o informacyę do jednego z kierowników naszej opinii publicznej, który najpierw podrapał się w głowę, potem w plecy, wkońcu jeszcze niżej i rzekł z powagą:

— Na razie nie mogę panu kochanemu nic pewnego powiedzieć, gdyż sam nic nie wiem. To jedno nie ulega wątpliwości, że wojna albo się skończy przed zimą, albo nie. W tym drugim wypadku pokój będzie zawarty pod warunkami, jakie podyktuje zwycięzca...

Gdym to usłyszał, zaraz mi się jaśniej w makówce zrobiło i powiedziałem sobie, że niema to jak informować się u człowieka, który politykę światową ma w małym palcu i to lewej nogi.

Drugi polityk, zapytany o to samo, pogładził najpierw swą długą, aż do pasa sięgającą brodę (zaoszczędza na krawatkach, bo ich nosić nie potrzebuje), następnie podparł nos wskazującym palcem ręki lewej, jakby stamtąd chciał wyciągnąć „dalsze konsekwencye", wreszcie chrząknął i kichnął i tak się odezwał:

— To jest tak! Już Adam i Ewa, gdy z rozkazu Pana Boga ogłoszono im w raju rozporządzenie w sprawie ewakuacyi...

— Przepraszam bardzo! — przerwałem — Czy pan łaskawy nie sięga przypadkiem za daleko?

— Nie panie! W takim razie zacznijmy od Noego, który zbudowawszy barak, zwany inaczej arką...

— I to mi się jakoś nie podoba! Zbliżajmy się do teraźniejszości...

— Owszem! Ja, mój panie, zacząć mogę, gdzie pan chce, nawet od stworzenia świata, a potem trafię zaraz w *meritum* sprawy. Jeśli pan jednak jesteś tak niecierpliwym, co nie licuje wcale z pańskim wiekiem i powagą i chcesz wiedzieć, czy i kiedy wojna się skończy, a pokój będzie zawarty, to tyle panu mogę w zaufaniu zakomunikować, iż sytuacya jest tego rodzaju, że może, a nawet musi się skończyć tak, lub owak. Jak jednak, tego panu nie powiem, bo sam nie wiem, dałem zresztą słowo jednej ekscellencyi, z którą o tem niedawno rozmawiałem, że pary z ust nie puszczę...

Podziękowałem pięknie za wyczerpującą informacyę i oświadczyłem gotowość podania jej do publicznej wiadomości, na co łaskawie raczył się zgodzić, prosząc jedynie o niewymienianie jego nazwiska, gdyż mogłoby to mieć bardzo fatalne skutki.

— Dla kogo? — zapytałem ciekawie.

— Dla nas wszystkich! Dla naszej sprawy! — odparł tajemniczo.

Otóż tak to przedstawiają się w rzeczywistości owe jaskółki pokojowe, czyli, innemi słowy mówiąc wiemy to jedno na pewne, ze właściwie nic nie wiemy!

Narodek, któremu się już sprzykrzyło gadać o wojnie, wymyślił sobie teraz nową zabawkę, zakłada się bowiem o to, czy ona się skończy i kiedy.

Przed kilku dniami, gdym się znalazł w bezpiecznym odcinku „pod Obrazem", jeden z kandydatów do pospolitego ruszenia, wyżej lat czterdziestu dwu, któremu powiedziano przy „musterunku", że nie jest zdolnym nawet do noszenia miotły, twierdził stanowczo, że wojna musi się skończyć jeszcze przed zimą.

— Zobaczycie, że tak się stanie! — mówił. — Przyjmuję każdy zakład... A tegoroczna zima będzie „pierońska". Czuję to po swych kościach...

Dodać zaś trzeba, że nigdy się nie myli, wszystkie jego przepowiednie, choćby nawet nie zgadzały się ze stuletnim kalendarzem, spełniają się co do joty!

Znalazł się jednak oponent, bo gdzież ich nie ma!...

— A ja panu powiadam — upierał się — że zimy nie będzie wcale tego roku. Najlepszy dowód, że kasztany kwitną drugi raz na plantacyach. Sam to widziałem, a wiem, co to znaczy. Pamiętam przed laty, gdym był jeszcze kawalerem i miałem się właśnie starać o rękę mej nieboszczki Kundzi, świeć Panie nad jej duszą... (tutaj ze wzruszenia otarł nos...) także zakwitły drugi raz kasztany...

— Tak! — przerwał znów inny. — Ale wtedy były pokojowe czasy, teraz zaś wojna.

Co mi tam pan głowę tem zawraca! Co ma wojna do zimy!

— Ma! I to dużo! — bronił się jeszcze, ja jednak dłużej nie czekałem, widząc, że i tutaj nie dowiem się wiele, ale zmieniłem "ugrupowanie" i po niedługim czasie znalazłem się w odcinku „pod Palmą", gdzie również zaproponowano mi zakład, że wojna przed zimą zejdzie z porządku dziennego.

Nie założyłem się przecież, gdyż wychodzę z założenia, że z dwu zakładających się, jest jeden cygan, który chce drugiego naciągnąć, tamten zaś dureń, że na to pozwala, ja zaś, zwłaszcza tym drugim, nie mam wcale być ochoty. Wobec czego dałem spokój tym „jaskółkom", zwłaszcza, że pojawiły się inne, stokroć przykrzejsze.

Tu i ówdzie po lokalach, gdzie można napić się piwa, rozlepiono czerwone kartki, na których stoi wyraźnie „czarne na białem", że z dniem 1. października ograniczoną zostaje produkcya słodu z tych a z tych powodów, że wobec tego warzyć się będzie mniej piwa i że ono podrożeje. Jak utrzymują wtajemniczeni, bombka podskoczy sobie co najmniej na dwadzieścia pięć centów, jeżeli nie więcej, wobec czego każdy przeciętny śmiertelnik będzie też musiał ograniczyć konsumcyę piwka...

Ta więc, piwna jaskółka, nie jest wcale przyjemną, zwłaszcza dla tych, którzy się uważają za amatorów prazdroju pilzneńskiego lub okocimskiego nektaru. Zwołują też ankietę, która ma za zadanie wziąć ich w swą opiekę, by nie pomarli z pragnienia, zanim pokój zostanie zawarty, a sprawy browarniane wejdą na normalne tory.

W ubiegłym tygodniu pożegnał się uroczyście z Galicyą wielki książę Mikołaj Mikołajewicz, który syt laurów, ale narzekając na brak staropolskiej gościnności u Polaków, przeniósł się na Kaukaz, gdzie łatwiej będzie może o sposobność do odznaczenia się.

Naczelne kierownictwo armii rosyjskiej objął po stryju sam car Mikołaj, który pożegnał się serdecznie ze swą rodziną, a pełen dobrej myśli i otuchy, napisał nawet testament i wyjechał podobno na front.

Z chwilą zmiany w dowództwie armii rosyjskiej widoczne są też i jej skutki, czytamy bowiem w komunikacie urzędowym rosyjskiego sztabu jeneralnego wzmiankę o jednem z największych zwycięstw, jakie Moskale odnieśli w dniach ostatnich.

Brzmi ona, jak następuje:

„W tej potyczce wpadło dwu naszych żołnierzy z własnej inicyatywy na tyły Niemców i zabili dwu Niemców, trzech wzięli do niewoli, zaś jeden uciekł".

Widocznie rosyjski sztab jeneralny jest w wielkim kłopocie, co podawać opinii publicznej w swych komunikatach, skoro wspomina o takich głupstwach. Przypomina mi to telegramy urzędowe z placu boju w czasie wojny rosyjsko-japońskiej, wedle których biło wroga, co się zmieści, a po rosyjskiej stronie ginął stale tylko jeden kozak...

Ostateczną wzmiankę należałoby poświęcić „babiemu latu", jak to uczyniły już nasze pisma codzienne wszelkich odcieni, ja przecież sprawę tę odłożyć muszę do następnego numeru, gdyż nie zgadzam się, aby to miało być już „babie lato". Zresztą sprawa ta zasługuje na szersze omówienie, a obecnie brakłoby mi już miejsca, ja zaś, o ile przedmiot na to zasługuje, nie żałuję nigdy ani papieru, ani atramentu.

Trzeba zaś wiedzieć, że obecnie podrożał i atrament, jak mnie bowiem poinformowano z kompetentnego źródła, n. p. w Jarosławiu wypili Moskale za czasów swego pobytu cały zapas. Dopiero z Krakowa trzeba było sprowadzić sukurs, aby mógł ruszyć z miejsca urzędowy „szimmel", który potrzebuje także wiele tego płynu, by mógł należycie wegetować.

Ponieważ wobec tego zwiększył się popyt, równocześnie zaś zmniejszyła produkcya, naturalnem następstwem rzeczy podniosły się i ceny, zwłaszcza, iż o atramencie taryfa maksymalna ani słowem nie wspomina.

Ostatecznie bez atramentu obejść się można, o ile nim kto nie gasi pragnienia, gorzej natomiast, że znowu zawitała do nas nowa jaskółka, nazwijmy ją tym razem „szewska", która zapowiada, że w najbliższym czasie obuwie podrożeje znowu, choć już dziś sytuacya na szewskiej giełdzie jest tego rodzaju, że każdego obywatela, który ma więcej, jak dwie pary butów, choćby one były nawet dziurawe, uważa się za magnata...

Michał Skawiński, rodem z Borszczowa w Galicyi, obecnie przebywający jako rekonwalescent w szpitalu Czerwonego Krzyża w Eger (Czechy) poszukuje brata, Jana Skawińskiego, zamieszkałego przedtem we Lwowie, Pauliny Skawińskiej, szwagra Józefa Waroweja, rodzonego w Cyganach, powiat Borszczów oraz Mikołaja Zalotego z Borszczowa.

Ktoby coś o nich wiedział, zechce go łaskawie listownie zawiadomić.

Zagadki do nagrody.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Sąd, ksieni, szara mąka, kąt żywota.

Równanie.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Odpowiednio odgadnięte wyrazy mają mieć tyle zgłosek, ile ich wskazuje mianownik. Z każdego należy wyjąć jedną syllabę, a otrzymamy w pierwszem równaniu nazwisko polskiego powieściopisarza, w drugiem tytuł jego dzieła.

$$\frac{a}{3}+\frac{b}{2}+\frac{c}{3}+\frac{d}{3}=x$$

$$\frac{e}{2}+\frac{f}{4}+\frac{g}{3}+\frac{h}{5}=y$$

Znaczenie wyrazów: a) Część mowy. b) Płazy. c) Bielizna na pościel. d) Część sukni damskiej. e) Kwiat polny. f) Kwiat ogrodowy. g) Roślina lekarska. h) Odmiana gołębia

Trójkąt magiczny.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzą imię i nazwisko malarki polskiej.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Bóstwo starosłowiańskie. 3. Nauka o słabościach kobiecych. 4. Dostojnik kościelny. 5. Kwiat. 6. Lekarz. 7 Skamieniałe szczątki zwierząt. 8 Znak pisarski 9 Pierwiastek 10. Rak morski 11 Pospolity minerał. 12. Przyimek. 13. Samogłoska

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Wit, lis, dyadem, teka i sęki.

Okienko.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Litery poprzestawiać w ten sposób, aby utworzyły wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a a a
a a g
g k m m o
o r t
t w w ż ż

Znaczenie wyrazów: 1. Strój kościelny. 2. Imię żeńskie. 3. Drzewo.

Przysłowiówka.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z każdego przysłowia wyjąć jedną zgłoskę i ułożyć z nich nowe polskie przysłowie:

1) Niema gadu bez jadu.
2) Nie miała baba kłopotu kupiła sobie prosię.
3) Nędza do modlitwy napędza.
4) Czem się nie naje, tego się nie naliże.
5) Patrzy się, jak cielę na malowane wrota.
6) Niema miodu bez zachodu.
7) Nie ciąg psa za ogon, to cię nie ukąsi.
8) Niedaleko pada jabłko od jabłoni.
9) Niema ognia bez dymu.
10) Dobra nasza bez maryasza.
11) Kruk krukowi oka nie wykole.
12) Kto koło mąki chodzi, powalać się musi.
13) Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal.
14) Myszy tańcują, gdy kota nie czują.
15) Nie pomoże umarłemu kadzidło.

Łamigłówka.
Ułożył Sz Kiliński, Szenów.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, utworzą pseudonim polskiego literata.

—ar
o—m
tł—
a—h
—ak
E—y
El—
o—o

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Z Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Co, co, co? Ćwierć zboża wygi kładzie na placu w trąbach? E! E!

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Przebóg! Żak N. N. złapał w sośninie czasze jeża.

Bilety wizytowe.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób.

Ł. PYTANICZ.

PIOTR HOLIS.

ALBERT TESYL.

KORNEL E MOERTT.

TOMEK U. SZUMUSZ.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *S. Pietraszkiewiczówny:* **Dzieje filomatów w zarysie.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 36.

Szarada: Epidemia.

Zagadki: Śnieg i słońce Ślepy koń Zdechły pies Mądry i głupi.

Trójkąt magiczny:

S t a c h i e w i c z
T r i c l i n i u m
A r c h e o l o g
C z a r d a s z
H i d a l g o
I n f a n t
E p i k a
w y k a
I w o
C i
Z

Zadanie do przestawienia: Kto miecz trzyma, pokój miewa

Równanie:

Jelonek + jeleń + odaliska = Jeleńska.
Borowik + ciasto + Nygi = Boctsny.

Zadanie do przestawienia: Im dalej w las, tem więcej drzew.

Łamigłówka: Jak, era, rak, Zan, vak, Żak, nle, lan, ara, war, sak, kra, Ito.

Zadanie do przestawienia: Kaszel nie choroba, koza nie chudoba.

Zadanie do przestawienia: Za panią matką idzie pacierz gładko.

Bilety wizytowe: Sztygar. Plantator. Gondolier. Metropolita. Eksplorator.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: D. Sedyńska Kraków, S. Krzyżanowski Podgórze, J. Charzewski Kraków, S. Wysoczański Poznań, M. Planecka Kraków, Z. Sperling Wiedeń, M. Sokołowska Kraków, S. Karwowski Gniezno, H. Bukowska Winnica, R. Topolnicki Wiedeń, B. Osadziński Krosno, D. Bernatowicz Jasło, M. Kalinowska Mor. Ostrawa, T. Nikiel Kraków, F. Horak Oświęcim. S. Medyński Zakopane, D. Schwadron Kraków, J. Stępień Budapeszt, S. Galiński Praga, K. Reichenberg Cieszyn, M. Raszka Cieszyn, J. Zachara Mielec, K. Wyka Biała, K. Makowski Zakopane, J. Jakubowska Kraków, R. Obraczay Morawska Ostrawa, J. Lipski Kraków, A. Gralewski Kraków, H. Mańkowski Wiedeń, J. Górka Kraków, H. Wincencik Kraków, A. Dużak Kraków, J. Antosz Tarnawa, H. Kozicka Tarnawa, S. Wilczyński Kraków, S. Mróz Wiedeń, S. Wiewiórowski Poznań, B. Antosz Wiedeń, K. Ohrenstein Podgórze, Z. Zacharska Nowy Sącz, J. Opolski Praga, A. Siatka Kraków, M. Kowalska Kraków, J. Wysoczański Jasło, R. Wolański Wiedeń, I. Brzostowski Podgórze, H. Trojacka Wiedeń, A Waga Kraków, K. Langer Berno. S. Wolańska Przemyśl, J. Wojciechowski Rzeszów, Z. Bartmańska Gmunden, S Milski Tarnów, A Landwirth Krakow.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. **M. Sokołowska, Kraków.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Kącik humorystyczny.

Zajęty.

Na schodach pod kościołem siedzi żebrak i przelicza do kapelusza swoje centy. Jakaś litościwa dusza rzuca mu do niego w przechodzie dwa halerze, lecz zirytowany dziad wrzeszczy:

— Psiakrew! Nie przeszkadzać! Ja robię bilans roczny.

Co zanadto, to niezdrowo.

Do wędliniarni wpada z hałasem chłopak od szewca i woła głośno:

— Panienko, panienko, proszę okrawków dla psa za dziesięć centów, tylko nie bardzo tłustych, bo jak majster zjadł wczoraj taką porcyę, to się rozchorował, a ja dostałem po gębie...

Rozumowanie całkiem logiczne.

Pewien prawnik rozumował: „Ożeniłem się z wdową, która miała córkę. Mój ojciec ujrzał ją i w dwa miesiące po moim ślubie ożenił się z nią, przez co stał się moim zięciem, jako mąż pasierbicy, a ona, jako żona mojego ojca została moją matką (macochą). Moja żona, jako matka mojej macochy stała się moją babką, a ja, jako mąż mojej babki, zostałem dziadkiem... samego siebie“...

Antysemita.

Konduktor przegląda bilety i natrafia na żyda, który, mimo że powywracał wszystkie kieszenie, nie znalazł biletu. Pomimo gorących zapewnień, że bilet kupił, rad nie rad musiał zapłacić tak zwany Nachzahlung, co go niezmiernie zirytowało. Siedzący naprzeciw niego jegomość, wielki antysemita, odzywa się już po zapłaceniu należytości i odejściu konduktora z ironicznym uśmiechem:

— Ależ pan głupi, co się zowie, bo mając bilet, zapłacił pan niepotrzebnie kilka koron.

— Jakto głupi, dlaczego głupi? Ja musiał płacić, chociaż ja bilet kupił, żebym tak zdrów był, ale ja jego potrzebował zgubić.

— Nie, panie. pan go nie zgubił, ma pan bilet zatknięty za kapelusz!

Zirytowany żyd zdejmuje kapelusz i znajduje bilet za jego wstążką. W największej więc pasyi woła do owego jegomościa:

— Dlaczego pan mi tego nie powiedział pierwej?

— Pan się mnie nie pytał, gdzie pański bilet, a ja, niepytany, z zasady nie odpowiadam.

Jedyny w Krakowie, który posiada **własny wyrób trumien**

Zakład pogrzebowy „Concordia" Jana Wolnego

Kraków, Plac Szczepański L. 2 (dom własny) **Telefon Nr. 331.**



500 koron

płacę każdemu, jeżeli

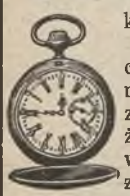
nagniotki

brodawki, skórę zrogowaciałą nie usunie w trzech dniach z korzeniami bez bolu **Ria-Balsam.** Cena 1 słoika z listem gwarancyjnym K 1·—, 3 słoiki K 2·50, 6 słoików K. 4·50.

Kemeny, Koszyce (Kassa), 1. fach pocztowy 12—93, Węgry.

---

5 halerzy



kosztuje karta korespondencyjna, zapomocą której zamawiać można mój główny katalog z 4000 odbitek

Pierwsza fabryka zegarków

Hanns Konrad

c. i k. nadw. dostawca

w Brüx Nr. 1257 Czechy

Niklowy zegarek Anker Kor. 3·80, lepszy K 4·20. Zegarek Rem ze starego srebra Kor. 4·80, ze szwajcarskim werkiem K 5·—. Pamiątkowy zegarek wojenny K 5·50. Kieszonkowy zegarek Radium K 8·50, z budzikiem K 24·50. Zegar ścienny K 3·40. — Na każdy zegarek 3 letnia pisemna gwarancya. Wysyłka za zaliczką. Bez ryzyka! Wymiana dozwolona lub zwrot pieniędzy!

WYROBY KRAJOWE

Rok założ. 1880. **D. Béze** Rok założ. 1880.

Zakopane, Krupówki.

WIELKI WYBOR PERFUM.

Pamiątki patryotyczne. Wielki wybór biżuteryi francuskiej i fantazyjnej **MOZAIKI.** Prawdziwe granaty.	Wyroby rzeźbione Zakopiańskie. Wyroby **skórzane.** Wielki wybór **torebek** damskich.	Wielki wybór **ZABAWEK. Lalki** Krakowianki. **Laski i toporki.** Kartki korespondencyjne illustrowane.

Dwa aparaty fotograficzne

(Kodak)

ręczne w form. 6×9

(Brownie Camera Nr. 2)

do sprzedania.

Wiadomość w Administracyi „Nowości Illustrowanych".

KINO-WANDA

przy ulicy św. Gertrudy L. 5.

Co trzeci dzień nowy program.

Przedstawienia trwają w dnie powszednie: od godziny 4-tej do 11-tej, w niedziele i święta od godziny 3-ciej do 11-tej wieczór.

MARYA SEGENY

b. nauczycielka szkoły Berlitza

udziela lekcyi jęz. francuskiego

Smoleńsk 35, parter.

Magazyn i pracownię ubiorów męskich

poleca

Z. SIEMEK

Kraków, ul. Sławkowska 16, I. p.

DOKŁADNE MAPY WOJNY

z Rosyą po koron 1·30, 1·60, 1·90, 4·70, 5·20.
z Francyą po koron 1·50, 2·60.
z Włochami po koron 1·30, 1·50, 1·70, 2·60.
z Serbią po koron 1·30, 2·60.

wysyła za poprzedniem nadesłaniem należytości lub za zaliczką

KSIĘGARNIA D. E. FRIEDLEINA

ODDZIAŁ B. KRAKOW, RYNEK 17.

Cenniki map na żądanie za darmo.

Mimo licznych naśladownictw tutek cygaretowych

„FRAMOS"

sporządzonych z najdelikatniejszych włókien liści morwowych — część wybredniejsza Inteligencyi naszej żada tylko **oryginalnych** tutek cygaretowych **„Framos"** (wyrobu M-ra Wł. Bełdowskiego), bo tylko te uznała za najlepsze.

To stwierdza, że prawdziwa Inteligencya nie da sobie nigdy nic **narzucić.**

Polecam więc dalszym względom P. T. Inteligencyi naszej wyborne tutki cygaretowe **„Framos".**

Do nabycia w lepszych handlach i trafikach.

Rowery Rival



są przecież najlepsze!

Tysiące w użyciu. Kor. 120, 130, 140 z Torpedo wolnym biegiem w najlepszem wykonaniu. Węże powietrzne tanio. Płaszcze K 6, 7, 8, 9, 10, wszystko inne po cenie fabrycznej. Maszyny do szycia K 62.

Specyalny dom rowerów

G. Wondrak

Wiedeń, III. Hauptstrasse 144.

Kupcom specyalne ceny.

K 5



Zegarek wojenny Brillant

Niebieska stal lub nikiel, dokładny Anker werk **tylko K 5,** ze skórkową opaską na rękę **K 7·50.** Najlepsze wykonanie **K 12·50.**

Wspaniały zegarek srebrny „Gloria" z trzema wspaniale grawirowanemi kopertami **K 7.** Wojenny łańcuszek **K 1·50.** Przy zakupnie 10 zegarków **1 zegarek gratis.** — Na pocztę polową i do krajów zajętych tylko za poprzedniem nadesłaniem należytości.

Wied. centrala zegarków Leop. Schächter

Wiedeń, II. Valeriestrasse 78, Abt. 81.

Zastępcy wszędzie poszukiwani.

Drukarnia D. E. Friedleina

w Krakowie, ul. Kazimierza W. 95. Tel. 479

zaopatrzona jest w wielką ilość czcionek różnego kroju i maszyny pospieszne. Wykonywa wszelkie roboty w zakres drukarstwa wchodzące: broszury, cenniki, katalogi, cyrkularze, afisze, zaproszenia ślubne, tabele i t. p. szybko i starannie, po cenach umiarkowanych.

Potrzebny uczeń

do

drukarni i kliszarni

Nowości Illustrowanych.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego